

Niechby gorzko, ale pięknie...

Prace laureatów
Krośnieńskiego Konkursu
Literackiej Twórczości Młodzieży



Krośnieńska Biblioteka Publiczna

Niechby gorzko, ale pięknie...

Prace laureatów

Krośnieńskiego Konkursu
Literackiej Twórczości Młodzieży

Krosno 2023

Konkurs został zrealizowany w ramach projektu
„Biblioteka – miejsce spotkań twórczych!” w programie BLISKO (2022-2023),
dofinansowanym ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego,
w ramach realizacji Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0
na lata 2021-2025, Kierunek interwencji 4.1.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego w ramach
realizacji Narodowego Programu Rozwoju
Czytelnictwa 2.0 na lata 2021-2025



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



Krośnieńska
Biblioteka
Publiczna

Protokół z posiedzenia jury Krośnieńskiego Konkursu Literackiej Twórczości Młodzieży

Jury w składzie: **Joanna Jagiełło, Dorota Patejko, Mariusz Kalandyk** na posiedzeniu w dniu 16 maja 2023 r. oceniło 106 prac, które wpłynęły na Krośnieński Konkurs Literackiej Twórczości Młodzieży i wybrało laureatów konkursu w dwóch kategoriach wiekowych: odrębnie dla utworów poetyckich i prozatorskich.

I. Uczniowie szkół podstawowych (kl. VI-VIII)

Kategoria wiersz

I nagroda – Jagoda Gugala (Szkoła Podstawowa w Króliku Polskim) za wiersze „Latem”, „Cień”;

II nagroda – Anna Adamczyk (Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9 w Stalowej Woli) za wiersze „Portret babci”, „Liryczne doznania”, „Oaza twórczości”, „Niezłomny Servus Mariae”;

III nagroda – Maja Wołczańska (Szkoła Podstawowa w Odrzykoniu) za wiersz „Lock down”;

WYRÓŻNIENIA

Nikoła Jurczyk (Szkoła Podstawowa nr 6 w Krośnie) za wiersz „Nadzieja”;

Maryna Latii (Szkoła Podstawowa nr 6 w Krośnie) za wiersz „Morał życia”;

Emila Markowska (Szkoła Podstawowa nr 14 w Krośnie) za wiersz „myślami tkane”;

Kategoria proza

I nagroda – Emel Özkan (Miejski Zespół Szkół nr 3 w Krośnie) za utwór „Ostatni zachód słońca”;

II nagroda – Jan Szyndlar (Szkoła Podstawowa nr 8 w Krośnie) za utwór „Figurka pradziadka”;

III nagroda – Weronika Prus (Szkoła Podstawowa w Jedliczu) za utwór „Życie bywa przekorne”;

III nagroda – Amelia Śnigórska (Szkoła Podstawowa nr 14 w Krośnie) za utwór „Tajemnicze biesiady”

WYRÓŻNIENIA

Miłosz Dobrowolski (Publiczna Szkoła Podstawowa w Krościenku Wyżnym) za utwór „O niezwykłej miłości zwykłego wojaka”;

Mikołaj Krukierek (Szkoła Podstawowa nr 4 w Krośnie) za utwór „Tajemniczość i spokój zimy”;

Aleksandra Polak (Szkoła Podstawowa nr 6 w Krośnie) za utwór „Pamięć”;

Jakub Szul (Szkoła Podstawowa w Posadzie Górnej) za utwór „(Nie)szczęścia chodzą parami”;

II. Uczniowie szkół ponadpodstawowych

Kategoria wiersz

I nagroda – Małgorzata Belcik (II LO w Krośnie) za wiersze „Niby”, „Ta chwila”, „Wczoraj”, „Ten dzień w lutym”;

II nagroda – Jakub Ginter (II LO w Krośnie) za wiersze „Anioły”, „Relacja sprzed bramy”, „Łóżko”, „Ta historia nie kończy się dobrze”;

III nagroda – Aleksandra Zych (I LO w Krośnie) za wiersze „pomnik”, „melpomene”, „iluzja pragnienia”;

WYRÓŻNIENIA

Aleksandra Bryś (Zespół Szkół Naftowo-Gazowniczych w Krośnie) za wiersz „Te słowa”;

Paulina Szelc (LO w Rymanowie) za wiersze „Prawda”, „Zło”, „Piękna destrukcja”, „Zielone Winstony i czarna zapalniczka”;

Alicja Surmacz (I LO w Krośnie) za wiersze „Przemyślenia”, „Szukając siebie”;

Kategoria proza

I nagroda – Maria Chmielowiec (I LO w Stalowej Woli) za utwór „Oczy”;

II nagroda – Mateusz Basamania (I LO w Krośnie) za utwór „Ciche wołanie”;

II nagroda – Patryk Pacana (II LO w Rzeszowie) za utwór „Dom”;

III nagroda – Amelia Wota (I LO w Krośnie) za utwór „Makarony władzy”;

WYRÓŻNIENIA

Monika Dudka (II LO w Krośnie) za utwór „Spoczynek”;

Zuzanna Mazur (II LO w Krośnie) za utwór „Niebanalne szczęście”;

Julia Przybylska (I LO w Krośnie) za utwór „Ostatni dzień mojego życia”;

Podpisy jury:

Jagoda Gugala – Latem

Latem wszystko jest inne
cieplejsze, miłsze, droższe

gdy siano pachnie słońcem
co zamienia pola w akry złociste
gdy zmierzch różowi nieboskłon
po wszystkie jego wyżyny

gdy mnogość gwiazd sypie się na dachy
blaskiem upalnym rozgrzane
gdy księżyc horyzont uspokaja
ulgę od skwaru daje

gdy rosa wraz z porankiem
trawę błogosławi
gdy skóra piegami się krasi
włosy bielą jak wapnem

gdy serce znów wolności doznaje
prawdziwie dziecięcego spełnienia

Jagoda Gugala – Cień

Tańczy cień
układ pełen pięknych scen
nad wrzosowymi
krzakami, żdziebełkami.

Tańczy cień
mgnień dyrygent samozwańczy,
huka, woła, nagli
„dotańczmy, wytańczmy”.

Tańczy cień
nad strumieni cudów szkła,
krynica się kręci
w rytm bez pamięci.

Tańczy cień,
księżyc skrzyć na niebie począł
okiem naślęczał
i milczał.

Tańczył cień,
świat otoczył,
aż słońce nieba ustroiło,
i cień ujarzmiło.

Anna Adamczyk – Portret babci

Na sztaludze wspomnień maluję
Głębię oczu Twych zielone studnie
Pędzlem pamięci znaczę
Nos niewielki, kształtny...
Usta czerwone
spowite uśmiechem miłości
Jeszcze włosy – piękne
pobielone podeszłym wiekiem
Na koniec dopełniam twarz
promieniem słońca
chylącego się nad doliną
zmarszczek życiowych strapień

Portret gotowy
z każdej barwy wyglądają wspomnienia
malowane pędzlem miłości
pogrubione kreską tęsknoty do Ciebie.

Anna Adamczyk – Liryczne doznania

W promieni witrażach
myśl moja rozbrzmiała
marzeń oddechem
– czas się zatrzymał –
pierwszy wers zaprasza,
kluczem bramę otwiera.
Wchodzę
do ogrodu wielkich wzruszeń –
zieleni, kwiaty,
podniebny balet dmuchawców
– oto co mnie wita.
W mej źrenicy odbija się
piękno lirycznego świata.
Czuję...
nieprzebraną radość,
dotykam wierzchołków drzew,
błękit nieba mnie unosi,
przenika moje myśli,
kaskadami zachwytów zstępuje
do zakamarków duszy,
uspokaja serce.
Na wiersza policzku gładkim
z motylem tańczę,
zatapiam się w zieleni traw,
przesiąknięta wonią kwiatów,
marzeniami się otulam.

Tu słońce ogrzewa moje zamiary,
słowa dojrzewają uczuć głębią
wirując lekko
w rytm kolejnych wersów.

Teraz wtulam moją duszę
w liryki piękno
dotykam każdej myśli
I piszę...
bo to sztuka i duszy jest opowiadanie
ubieranie świata we własne barwy
– to życia kolorowanie
tylko za pomocą zwykłego pióra.

Anna Adamczyk – Oaza Twórczości

jest takie miejsce
droższe od innych na świecie
gdzie myśl moja rozbrzmiewa
marzeń oddechem
gdzie dobroć
wlewa się szczęścia falami

ono pięknem któremu patrzę w oczy
symfonią duszy
częstką mnie samej
– tutaj do rąk ufnie tulą się tęsknoty
myśli kolorowe motyle wyfruwają pod błękit
by natchnienia wodospadem
spłynąć
w głębię słowa
– rozkwitnąć poezji kwiatem

jest takie miejsce
gdzie w duszy przebudzonej słońca promieniem
króluje Twórczość
słowa dojrzewają radością mojego życia
– obradzają wierszy owocem

ich smakiem delektuję uczucia
w koszyku zanoszę
między obłoki i gwiazdy

Anna Adamczyk – Niezlomny Servus Mariae

*Pamięci księdza Władysława Gurgacza „Ojca”
– jezuity, mistyka, duszpasterza, żołnierza wyklętego*

Co mnie wzrusza?
Co ciągle się w myślach przeplata?
Co zostaje na zawsze? A co na przyszłe lata?

Na pewno człowiek:

Skromny chłopak z ubogiej rodziny,
cichy, wątły zdrowiem, pełen pokory,
pochodzący z Jabłonicy Polskiej¹
Władysław – tak miał na imię.

Gdy wszedł w objęcia Kościoła
zabrzmiął las na wschodzie,
– fale mocno biły o brzeg Ojczyzny,
rozlewały czerwony terror,
propagandą nienawiści żłobiły głębokie blizny.

Z miłością szczerą, wiarą w duszy
Akt Całkowitej Ofiary złożył,
– by po kamieniach sowieckiej obłudy
dźwigać brzemień własnego krzyża
na Golgotę mrocznego komunizmu.

Na szali postawił zakonne posłuszeństwo,
– w dziewiczych lasach na sygnał – tak
sutannę zamienił na żołnierski mundur.
Misyjnym nakazem Chrystusa
dzielił los braci wyklętych,
okrywał ich płaszczem duchowej opieki,
wiarą rzeźbił serca wąpiące
– piękniej niż sam mistrz Rafaello.

¹ Jabłonica Polska - wieś w Polsce położona w województwie podkarpackim, w powiecie brzozowskim, w gminie Haczów. W latach 1975-1998 miejscowość administracyjnie należała do województwa krośnieńskiego.

Przygarnięty przez knieje,
nie godził się na Polskę czerwoną – sowiecką,
na bolszewicki fałsz i obłudę,
na ideologię marksistowską – zgubną.
Cel wyznaczał – Bóg, Honor, Ojczyzna!
W katedrach podkarpackich drzew,
na ołtarzach Łabowskich Hal,
niczym Dawid z procą
– walczył – lecz nie bronią,
celnie trafiał Słowem Bożym,
które solą w oku Goliata ze Wschodu.

Za wilcze życie, kapłańską posługę
przez wroga hojnie nagrodzony
– zastrzelony – kulą w głowę.
Oddając Ducha – wierzył,
że ofiara braci wyklętych
rozświecili kiedyś ciemność
– staną się częstką Płomienia,
zaczynem naszej Wolności,
wezwanem do budowy nowej Przyszłości.

„Na śmierć pójde chętnie”
„Ite, missa est!”

Maja Wołczańska – Lock Down

Zamknięci w czterech ścianach,
wtopieni w czarny ekran
to my anonimowi,
odseparowani.
Wyblakłe dni.
Tylko jakby bardziej niebieskie niebo.
Tylko jakby śpiew ptaków głośniejszy.
Czy to cud ekologii?
Nie! To świat bez ludzi.

Nikoła Jurczyk – Nadzieja

Potężna ulewa...
Krople deszczu coraz mocniej
Uderzają o szybę.
Wpatruję się w puste osiedle,
Gdzie jeszcze rano,
Kolorowo było od ludzkich postaci.
Gołębie pochowały się
Pod dachami starych kamienic,
A bezdomne koty,
Pouciekały do piwnic.
Widzę kałuże, które są rozjeżdżane,
Przez miejscowe samochody.
Jest ponuro i smutno.
Wyczekuję na słońce,
Które otuli mnie swoimi promieniami.
Liczę na rześkie powietrze,
Który uspokoi mój oddech.

Czekam...
Deszcz prawie ustał,
Zza chmur wyrzało upragnione słońce.
Na horyzoncie znowu
Ukazał się Zamek Kamieniec,
Nad którym rozbłysła
Siedmiokolorowa tęcza,
Ramionami obejmując cały Odrzykoń.
Muszę wyjść jej naprzeciw,
Choć wiem, że kiedy się zbliżę,
Ona zniknie.
Obudzi się we mnie nadzieja
Na lepsze jutro
I wiara,
Że zawsze po deszczu,
Nadchodzi czas ukojenia.

Maryna Latii – Morał życia

Żyję ja w świecie obłąkanym, który ma swoją dziwną naukę
Lecz człowiek rozumiejący ją potrafi tutaj żyć.
A ty mój drogi czytelniku, zatrzymaj się i pomyśl

Miałam kiedyś dom, ale zniszczyli mi go w jeden moment
Kiedyś miałam „przyjaciół”, ale niestety teraz zbyt doceniam i kocham siebie, aby
na to sobie pozwolić.

Plany moje kiedyś były niedalekie, ponieważ nigdy nie byli moje.
Robiłam kiedyś głupie rzeczy, dlatego że nie miałam głowy.
Wierzyłam kiedyś w cuda, ale wtedy mój dziecięcy umysł nie było czym zapełnić.
Żyłam kiedyś marzeniem, by zostać księżniczką i żeby świat mój cały był na różowo,
ale pewnego dnia wszystko się zmieniło...

Dom się zamienił na obczyznę
Przyjaciele na wrogów, a później na samotność
Plany małe przestały istnieć.
Szalone pomysły zniknęły

A świat mój stał się szary.

Ciężkie były te dni, beznadziejność panowała we wszystkim.

W wyglądzie moim przed lustrem.

W oskarżaniu siebie, choć nic złego nie zrobiłam.

W zdradzie, którą ciężko było przeżyć.

W jutrze, którego nie chciałam.

W męczącej nauce, która stała się bezsensowna.

W braku towarzystwa i pomocy, w absolutnej samotności.

Lecz któregoś dnia w dom mój szary i ponury weszła drobna nadzieja

Nie była pewna ani jasna, lecz była.

I tego dnia życie moje radykalnie się zmieniło.

Zmieniłam kolor szary na czerwony.

Przez łzy na siłę swój wygląd pokochałam.

Z całkowitą pewnością zaczęłam mówić tak i nie.

Zapomniałam to co robiłam i czego nie robiłam.

Zdradę zapomniałam, ale nie wybaczyłam.

Zaczęłam żyć dniem przyszłym, zapominając o bólu teraźniejszości.

Tym co mnie zaczepiali, nakazałam zacząć mnie szanować.

Poszłam na całość dla tej nadziei, potem mi się to odpłaciło.

Naszedł moment, kiedy każdy stracił wszystko.

I ten, który z losu mego i mej rodziny śmiał się, poniósł tę samą zgubę.

I ten który był człowiekiem dobrym i hojnym, też stracił.

Każdy ktokolwiek coś miał, stracił.

Oprócz mnie, bo nie miałam nic...

Teraz kłaniam się na scenie w oczekiwaniu na wielkie oklaski.

Wiem, że kiedy tu szłam, wielu mi kładło kłody pod nogi.

Za domem tęsknię, chociaż wiem, że już dawno nie istnieje.

Nigdy nie wiem, czy dam radę, ale wiarę mam.

Mam przyjaciół wielu, ale wiem, że nie mam nikogo oprócz siebie.

Straszy mnie wiele lęków, ale śmieję się wszystkim tym strachom w oczy prosto.

Kiedyś wahałam się między pesymizmem a optymizmem, a teraz jestem realistką.

Kiedyś żałowałam wszystkiego, a teraz kiedy coś nie tak pójdzie

– przepisuję do „ciekawej fabuły”.

Kiedys mi się ręce trzęsły pośpiechu, a teraz... strzelajcie! Dopóki mi sił starczy,
z miejsca się nie ruszę!

Dziwny ten świat jest, zrozumieć go dosyć ciężko .
Może cię przez przypadek wywyższyć, a może przez przypadek zniszczyć.
Nie jest biały ani czarny.
Ale już ten świat mnie z równowagi nie wyprowadzi.
Ani sukcesem, ani klęską
Bo życia morał zrozumiałam

Emilia Markowska – myślami tkane

spaceruję po krętych krośnieńskich uliczkach
przypominających myśli nieodgadnione
na ramieniu ciąży bagaż doświadczeń
który wolałabym zmienić na poręczną torebkę
pełną ciepłych uczuć

rynek świeci pustkami
choć rozjaśniony blaskiem słońca
wychylam głowę w jego stronę w nadziei,
że i w moim sercu nastąpi rozpogodzenie

a kawowy aromat z przydrożnej kawiarenki
wdziera się do nozdrzy
niemał tak mocno
jak mocne jest farnych dzwonów bicie
w tym miejscu się ukorzeniłam – myślę
patrzac na powolny senny krajobraz
powoli zaczynam odczuwać szczęście

Emel Özkan – Ostatni zachód słońca

Właśnie wracam do domu z mojego porannego spaceru po Krośnie. Mieszkam tu od zawsze, znam prawie każdą uliczkę. A jednak ostatnio czuję się tu jakoś obco i jakbym tu nie pasował. W zasadzie w każdym miejscu się tak czuję. To dziwne. Przecież nigdy tak nie było...

Gdy jestem już całkiem blisko domu, zauważa mnie mój przyjaciel – Christopher. Biegnie w moją stronę i woła:

– Hej, właśnie szedłem do ciebie!

– Cześć, serio?

– Tak. Mam teraz trochę wolnego czasu i pomyślałem, że moglibyśmy się gdzieś razem wybrać. Oczywiście, jeżeli chcesz.

– Och, jasne możemy gdzieś pójść.

– To cudownie! Mam nawet pewien pomysł. Trochę nad tym myślałem – Christopher uśmiecha się promiennie. Zawsze jest taki radosny. Chciałbym wiedzieć, jak to robi.

Idziemy przez uliczki Krosna. Dużo się śmiejemy, a ja czuję się wspaniale. Chciałbym, żeby to uczucie było ze mną już zawsze.

Wchodzimy do Parku Jordanowskiego, który jest jednym z ulubionych miejsc Chrisa, jak i moim.

– Tu jest tak pięknie. Taka miła atmosfera – zauważa mój towarzysz.

Idziemy na huśtawki. Mamy już po siedemnaście lat, ale to się chyba nam nigdy nie znudzi.

– Pamiętasz, jak kiedyś skakaliśmy z huśtawek i udawaliśmy, że latamy?

– Jasne, tego się nie da zapomnieć. Albo gdy zamykaliśmy oczy i udawaliśmy, że huśtawki są w kosmosie? – wspominam czasy, gdy mieliśmy po dziesięć lat.

– Oczywiście, że tak.

Huśtamy się przez około godziny. W końcu musimy zejść, bo zniecierpliwione mamy dzieci bawiących się na placu posyłają nam groźne spojrzenia.

– Nie wiem, o co im chodzi. Przecież huśtawki to coś wspaniałego.

– Wiesz, jacy są ludzie. Nie pamiętają, jak byli w naszym wieku. No trudno. Uśmiech!

– mówi i robi nam parę zdjęć. Przegląda je i pokazuje mi jedno z nich. – Ooo, to jest urocze.

Przyglądam się fotografii, którą nam zrobił. Podoba mi się, wydaję się na niej szczęśliwy, co nie zdarza się za często. To dobrze, powinienem się częściej uśmiechać, a przynajmniej tak sądzi Christopher.

Jak byliśmy mniejsi, przychodziliśmy do tego parku z naszymi mamami codziennie. Przeżyliśmy dużo cudownych chwil. Gdy byliśmy w podstawówce, przychodziliśmy tu w każdy czwartek. To była taka nasza tradycja.

Po spacerze po parku idziemy na rynek. Lubię to miejsce. Robimy zdjęcia, a potem idziemy do restauracji o nazwie Posmakuj Krosno, bo zgłodnieliśmy. Zamawiamy pizzę i czekamy, aż ją przyniosą.

– Dobrze się bawię, a ty? – pyta.

– Jest wspaniale. Naprawdę wspaniale – posyła mi uśmiech, na co ja również nim odpowiadam.

Dużo się śmiejemy, rozmawiamy i wspominamy.

Odkąd pamiętam, Chris jest moim najlepszym przyjacielem. Nasze mamy znają się bardzo dobrze, bo pracują razem jako pielęgniarki. Był przy mnie, gdy płakałem i gdy się śmiałem. Był smutny, kiedy mi było przykro, szczęśliwy gdy ja byłem radosny. Ja taki sam byłem w stosunku do niego.

Lubię jego oczy o intensywnym morskim kolorze. Ciemne, lekko pokręcone włosy. Chris jest dosyć niski. Uwielbiam w nim to, że zawsze jest taki radosny, mimo że

przeżył dużo w swoim życiu. Jest taki pogodny i zawsze wszystkim pomaga. Naprawdę się cieszę, że mam takiego kogoś, jak on. Każdy powinien mieć taką osobę.

Po zjedzonym posiłku idziemy jeszcze pospacerować po rynku.

– Patrz, jaki uroczy gołąb! zachwyca się chłopak. – Wszystkie gołębie są takie urocze.

– Jakoś nie przepadam za gołębiami. Wszystko brudzą.

– Musisz patrzeć na świat bardziej optymistycznie – często mi to powtarza. Nie wiem, jak on to robi, że zawsze jest taki pogodny.

Jest idealna pogoda na takie spotkania. Nie jest ani za zimno, ani za gorąco. Uwielbiam wiosnę. Wtedy wszystko się budzi do życia.

– Gdzie teraz idziemy?

– Myślę, że to miejsce ci się spodoba, Ash – uśmiecha się.

– Co ty znowu wymyśliłeś? – odwzajemniam uśmiech. Odpowiada tylko gestem, że bym szedł za nim.

Idę cały czas za chłopakiem. W końcu doszliśmy na dworzec główny.

– Gdzie my jedziemy?

– Zobaczysz – przewrócił oczami ze śmiechem. – Jesteś strasznie niecierpliwy.

Wsiadamy do autobusu i kupujemy bilety. Domyślam się, że jedziemy do Polanki.

W Polance też bywaliśmy dosyć często. Mieszkała tam moja babcia. Obydwaj uwielbialiśmy do niej chodzić. Miała też dwa koty, jako dzieci uznaliśmy, że jeden będzie mój, a drugi Christophera.

– Już jesteśmy – mówi i wysiada z autobusu, a ja za nim.

Idziemy kilka minut aż dochodzimy na łąkę. Jest tu bardzo pięknie, jest wiosna, więc kwiaty zaczęły kwitnąć.

– Zróbmy bukiet – proponuję. Wiem, że on lubi robić takie rzeczy.

– Tak, zróbmy to.

Zbieramy kwiatki przez dobre dwadzieścia minut. Towarzyszy nam tylko śpiew ptaków i odgłosy natury. Jest doskonale.

– Dobra, chyba tyle wystarczy – Chris podbiega do mnie z kwiatami, które zebrał. – Tylko czym my to zwiążemy?

– Można by było to zrobić jakimś długim źdźbłem trawy.

– Dobry pomysł. Tylko trzeba znaleźć jakieś wytrzymałe.

Związujemy nasz bukiet. Nie jest to jednak takie proste. Po kilku próbach w końcu się nam udało.

– Jest świetny! – oznajmiam z uśmiechem.

– Bo my go robiliśmy – brunet odwzajemnia uśmiech. – Chodźmy do tego lasku, który jest niedaleko.

Bierzemy swoje rzeczy i idziemy. Chris chwyta mnie za rękę. Często to robi. Wydaje mi się, że dzięki temu czuje się bezpieczniej, szczerze mówiąc ja również.

Docieramy do lasku. Nie mamy żadnego koca, na którym moglibyśmy usiąść. Ale to nic. Siadamy na trawie, nie padało, więc jest sucha. Puszczam muzykę. Leci *"Life support"* Sama Smitha.

– Bardzo lubię tę piosenkę. Opisuje to, co chciałbym powiedzieć osobie, która mi się podoba – mówi Chris.

– Podoba ci się ktoś? Nie wiedziałem – patrzę na niego. Do tej pory mówił mi wszystko. Dlaczego więc nie powiedział mi, że ktoś mu się podoba?

– Tak.

– Kto taki?

– To chyba jedyna rzecz, której nie mogę ci powiedzieć. Przynajmniej na razie.

– Och, rozumiem.

Siedzimy chwilę w ciszy. Nie wiem, co mam powiedzieć. Wygląda na to, że on też nie. W końcu jednak postanawiam, że się odezwę.

– Było dziś cudownie.

– Mnie też bardzo się podobało – widzę, że się rozluźnia.

– Dziękuję.

- Za co?
 - Za to spotkanie i za to, że zawsze jesteś, gdy cię potrzebuję. Naprawdę się cieszę, że mam kogoś takiego jak ty – Chris się uśmiecha.
 - Ja też ci dziękuję, Ash. Jesteś najlepszy.
- Znowu siedzimy w ciszy. Teraz jednak nie jest tak niekomfortowo. Chłopak przysuwa się do mnie i przytula. Widzę, że jest mu zimno.
- Nie chcesz wrócić już do domu? – pytam go, nie chcę żeby się przeziębiał.
 - Nie. Posiedźmy tu jeszcze trochę. Jest taki ładny zachód słońca.

Trzymamy się za ręce i patrzymy jak słońce powoli się chowa. Bardzo lubię takie widoki. Chcę zrobić zdjęcie, lecz stwierdzam, że lepiej cieszyć się chwilą. A potem powoli wszystko się jakby rozplywa. Nie widzę już Christophera. Widzę tylko ciemność... I ciemność.

Budzę się. Siedzę na ławce, na cmentarzu. Dotykam swojej twarzy, po policzkach spływają mi łzy. Co się stało?

Och, no tak. Christophera już tu nie ma. Patrę na grób przed sobą. Widnieje tam jego imię i nazwisko. Jest też data śmierci.

Chris zmarł w wieku siedemnastu lat, niestety miał raka. Nie udało się go uratować. Dalej nie mogę sobie z tym poradzić.

Wstaję. Powoli rozglądam po miejscu, w którym jestem. Przypominam sobie te wszystkie chwile z nim. Ale to już nigdy nie wróci. Jak to możliwe? Dzień przed śmiercią był taki szczęśliwy. Zmarł w nocy, więc nie miałem się z nim okazji pożegnać tak, jak chciałem. Tak bardzo żałuję, że nie powiedziałem mu wszystkiego, co chciałem, żeby usłyszał.

Wyciągam z kieszeni kartkę, którą mi podarował. Napisał na niej *„Kiedyś mnie już tu nie będzie. Ale Ty nie możesz się poddać, Ash. Całe życie jest przed Tobą. Proszę, spędź każdy dzień radośnie. Proszę, zostań lekarzem, tak jak zawsze chciałeś. Adoptuj psa, napisz książkę. Spełnij te wszystkie marzenia. Zrób to dla mnie. Kocham Cię i zawsze będę Cię kochać.*

Chris.”

Czuję gorące łzy. Muszę to zrobić. Dla niego.

Kiedyś się tam spotkamy. Wszyscy. Wiem, że Chris będzie tam na mnie czekał.

Jan Szyndlar – Figurka pradziadka

Pewnego dnia moja prababcia poprosiła mnie, bym przyniósł z piwnicy ziemniaki na obiad. Kiedy nabierałem je do worka, kątem oka zobaczyłem w rogu pomieszczenia starą skrzynię. Zaintrygowała mnie. Kiedy ją otworzyłem, moim oczom ukazała się drewniana :figurka. Prababcia pozwoliła mi ją zatrzymać, mówiąc, że należała do mojego pradziadka.

Od tamtego wydarzenia minęło pięć lat. Zacząłem właśnie interesować się pokemonami. Grałem w gry, czytałem o nich artykuły w Internecie, oglądałem filmy. I wtedy odkryłem, że znaleziona przeze mnie figurka to Arceus – bóg i twórca pokemonów. W tym właśnie miejscu zaczyna się moja niesamowita przygoda!

Była zwykła, sierpniowa sobota. Bawiłem się w pokoju, gdy nagle figurka Arceusa rozbrzmiała nieziemskim światłem. Wziąłem ją do ręki i dokładnie obejrzałem. Wyglądała jak dawniej, a mimo to „świeciła”. Chciałem pokazać ją rodzicom, lecz gdy wyszedłem z pokoju, uniosłem się w kolorowej pustce, a przede mną unosił się również Arceus. Nie figurka, ale prawdziwy pokemon! Zdezorientowany wycofałem się i znów znalazłem się w swoim pokoju. Dalej trzymałem w dłoni błyszczącą figurkę. Spróbowałem ponownie wyjść z pokoju, ale znów znalazłem się w kolorowej pustce. Znajac zachowania tych legendarnych stworzeń, przypuszczałem, że Arceus chce mi

coś przekazać za pomocą telepatii. Czekałem więc cierpliwie. I miałem rację. Po chwili w głowie usłyszałem głos:

– Witaj, Janku! Świat pokemonów jest w niebezpieczeństwie. Ustrój, który ustanowił twój pradziadek, rozpada się! Żli i chciwi ludzie dostali się do tego świata i powoli go niszczą.

Jutro, dokładnie o godzinie 15:35, stuknij trzy razy figurką o drzwi w twoim pokoju. Tak aktywujesz portal. Potrzebujemy twojej pomocy.

Nagle znalazłem się w przedpokoju. Arceus zniknął.

– Jasiu, chodź, bo obiad stygnie! – usłyszałem głos mamy z kuchni.

– Już idę! – odpowiedziałem.

Nadszedł kolejny dzień. O 15:33 wszedłem do swojego pokoju i wziąłem figurkę do ręki. Poczekałem 2 minuty i otworzyłem portal. Drzwi zrobiły się fioletowo-zielone. Przeszedłem przez nie i...

Gdy się ocknąłem, leżałem na polanie. Słońce ogrzewało moją twarz, a na rękach czułem delikatne łaskotanie. Obwąchiwał mnie Electrike. Przestraszyłem się i przeturlałem metr w lewo, Electrike jest bowiem pokemonem typu elektrycznego, nie chciałem, by poraził mnie prądem. Usiadłem. Polana była wielka i biegały po niej pokemony, między innymi: Mareepy, Pikachu i Parasy. Niedaleko mnie stała skrzynia. Otworzyłem ją. W środku znajdowało się jedzenie, woda i pokeballe. Rozejrzałem się jeszcze raz. Nieopodal jakaś osoba bawiła się z pokemonami. Podeszedłem do niej.

– Cześć. Możesz mi powiedzieć, gdzie właściwie jestem? – spytałem.

– Cześć – odparł chłopak. – Jesteś w mitycznym świecie pokemonów, który powstał około 6 tysięcy lat temu. My – ludzie – odkryliśmy go około 4 tysiące lat temu. Nasi przodkowie otwierali portal za pomocą drewnianej figurki Arceusa.

– Tej figurki? – wyciągnąłem swoją z kieszeni.

– Tak – odpowiedział chłopak. – Ale skąd ją masz? 70 lat temu zaginęła.

– 5 lat temu znalazłem ją u prababci. Powiedziała, że należała do mojego pradziadka.

– A jak miał na imię?

– Bronisław.

– Co?! W takim razie jesteś moim kuzynem! Faktycznie, wujek Bronisław tu bywał. To nasz daleki przodek odkrył ten niesamowity świat. Mam na imię Olek.

– Wow! Ja jestem Janek.

Rozmawiałem z Olkiem jeszcze bardzo długo. Okazało się, że ludzie w świecie pokemonów pokłócili się o granice regionów. Dochodziło też do porwań, np. ktoś z regionu Galar jechał do regionu Kanto i wyłapywał ogromne ilości pokemonów, które potem wypuszczał w swoim regionie, niszcząc ich pokeballe. Z tego powodu te stworzenia ponownie stawały się dzikie. Mój pradziadek ustalił nowe prawo i wytyczył granice regionów. Problem jednak znów się pojawił, gdy Giovanni założył Zespół R. Organizacja ta przemycza pokemony i kradnie je ich właścicielom. Moim zadaniem było odesłanie Giovanniego i jego trzech najważniejszych pomocników: Sierry, Cliffa i Arla do normalnego świata. Bez nich. Zespół R nie przetrwa. Stwierdziłem, że najłatwiej będzie to zrobić przy użyciu pokemonów, organizując bitwę. Przez kilka tygodni łapałem je i przygotowywałem się do walki. Olek miał mi pomóc w bitwie z liderami Zespołu R. Potrzebowaliśmy przynęty. Zwykły pokemon nie wystarczyłby. Poszliśmy do pobliskiego lasu w poszukiwaniu błyszczącej formy jakiegoś pokemona. Po pewnym czasie udało się go znaleźć.

– Olek! Patrz, błyszczący Caterpie – powiedziałem.

Olek rzucił pokeballa. Niestety, pokemona nie udało się złapać, ale za to mocno zdeznerwować. Zza drzewa wypłynęły jeszcze dwa Caterpie i Metapod.

– Ojoj – jęknąłem.

Pokemony zaczęły w nas strzelać pestkami.

– Uciekaj! – krzyknął Olek.

Rzuciliśmy się do ucieczki, ale i tak oberwaliśmy. Nagle z nieba spadła na nas sieć.

– Jaka ona ciężka i strasznie się lepi – powiedziałem.

– To jest sieć Butterfree. Klei się bardziej niż rzep – mruknął Olek.
 Caterpie ponownie próbował nas ostrzelać pestkami, ale w końcu odpełzł. Jakoś udało nam się uwolnić z sieci. Obolali i cali w kleju z sieci Butterfree uciekliśmy przed kolejnymi atakami. Wróciliśmy do poszukiwań i w końcu natknęliśmy się na błyszczącego Vulpixa.

– Nawet nie próbuj go łapać – powiedziałem. – Nie chcę mieć poparzonej skóry.
 Vulpix to pokemon typu ognistego. Cicho zawróciliśmy i wznowiliśmy poszukiwania. Na szczęście los się do nas uśmiechnął. Po kilku minutach ujrzelśmy śpiącego błyszczącego Raichu.

– Szybko, bo zaraz się obudzi – szepnąłem.
 Olek rzucił pokeballa. Tym razem udało się.

– Uff! się – odsapnął Olek.
 Gdy wracaliśmy z „polowania”, spotkaliśmy już dobrze nam znanego Caterpie.

– Jaki miły jest dla nas świat! – powiedział ironicznie Olek.
 Zmaltretowani po dwóch ostrzałach, cali klejący się i zmęczeni podróżą, wróciliśmy do domu Olka. Byliśmy tak wyczerpani, że nie mogliśmy kontynuować akcji. Przez cały tydzień starannie planowaliśmy atak. W końcu byliśmy gotowi. Wyruszyliśmy. Gdy przechodziliśmy przez miasteczko, zobaczyłem, że na rynku stoi skarbonka. Kształtem przypominała ona Wieżę Fama, która znajduje się w Krośnie. Mama opowiadała mi, że w latach 80. XX wieku stała taka skarbonka, na płycie rynku w naszym mieście. Ta, którą właśnie zobaczyłem, wyglądała identycznie jak krosnieńska.

– Skąd się wzięła tutaj ta skarbonka? – zapytałem kuzyna.
 – Gdy zaginęła figurka, musieliśmy znaleźć nowy sposób na podróżowanie między światami. Wujek Bronisław wymyślił, że można przemieszczać się za pomocą skarbonek. Zbudowano tutaj taką samą, jak ta w Krośnie. Przy pomocy specjalnych żetonów otwierano portal. Niestety, kilkanaście lat później skarbonka z waszego świata została zniszczona i zabrano ją naprawy. Nigdy jednak nie wróciła na swoje miejsce – odpowiedział Olek.

Rozmawiając o skarbonce, dotarliśmy do opuszczonego domu pod lasem. Olek stwierdził, że to doskonałe miejsce, by wypuścić przynętę - błyszczącego Raichu. Miał rację. Po około 30 minutach pojawił się na niebie balon z wielkim „R”. Wylądował. Wyszli z niego pracownicy Zespołu R. Szybko zapakowali Raichu do worka, wsiedli do balonu i odlecieli. Poleciliśmy za nimi na moim Decidueye. Po chwili znaleźliśmy się nad ich bazą. Cicho i niezauważalnie wylądowaliśmy na jednym z drzew. W trakcie podróży Raichu wygryzł dziurę w worku i wychylił delikatnie główkę. Olek wykorzystał ten moment i przywołał go do pokeballa. Zdezorientowani porywacze wbiegli do budynku. Zniknięcie pokemona na ich oczach oznaczało jedno: KTOŚ ZNALAZŁ ICH KRYJÓWKĘ! Wściekli, razem z Giovannim, Sierrą, Cliffem i Arlem, wybiegli na zewnątrz. W tym samym czasie zakradłem się do drzwi i otworzyłem portal. Olek rozpoczął bitwę pokémonów. Po chwili dołączyłem do niej i ja. Trwała długo, była bardzo zacięta. Żadna ze stron nie chciała się poddać. Stawka była zbyt wysoka. Na całe szczęście pojawił się Arceus i użył Electro Sieci. Unieruchomił nią liderów Zespołu R.

– Lapras! Użyj Surfa! – krzyknąłem.
 Ogromna fala wody popłynęła w stronę naszych przeciwników i wepchnęła wszystkich do portalu.

– Udało się! – krzyknął Olek.
 Radości było co niemiara. Pokemony wróciły do swoich właścicieli. Zespół R przegrał, a jego członkowie zniknęli bez śladu. Nie znając ich zamiarów, musieliśmy zabezpieczyć granice regionów. Stworzyliśmy Oddział Obrońców Granicy składający się z przeszkolonych pokémonów. Granic strzegły dodatkowo Bayraktary TB2. Nadszedł jednak czas pożegnania. Obiecałem Olkowi, że będę go odwiedzał. Otworzyłem portal i...

Nagle znalazłem się w przedpokoju. W dłoni nadal trzymałem figurkę Arceusa. Popatrzyłem na zegarek. Wskazywał 15:36.

– Czas się zatrzymał! – pomyślałem.

To była niezapomniana przygoda! Zobaczyłem, jak w rzeczywistości wyglądają i zachowują się pokemony. Z wieloma z nich się zaprzyjaźniłem. A poza tym odkryłem w sobie duszę podróżnika.

A tak na marginesie, gdybyście kiedyś znaleźli drewnianą figurkę Arceusa, to proszę, zadbajcie o nią, bo nie wiadomo, kiedy nasi przyjaciele w świecie pokemonów będą potrzebowali waszej pomocy.

Weronika Prus – Życie bywa przekorne

Nazywam się Nadia, ale przez większą część tej opowieści, będziecie słyszeć, jak zwracano się do mnie „Nitka”. Nazwa ta wynikała z mojej drobnej budowy i niskiego wzrostu. Miałam wtedy długie jasne włosy, co odróżniało mnie od całej rodziny. I Kiedy 12 lat temu rozpętało się to piekło na ziemi, mieszkałam przy ulicy Franciszkańskiej wraz z moimi rodzicami i dwójką starszych braci – Danielem „Burzą” i Adrianem „Pszczołką”. Ulica ta była miejscem zamieszkania wielu Żydów, byliśmy bowiem rodziną żydowską – jedną z wielu mieszkających na terenie Krosna przed atakiem nazistów 1 września 1939 roku. Jak co roku, mieliśmy iść w tym dniu do szkoły, jednakże wojna nam w tym przeszkodziła. Nikt nie przypuszczał, że nastąpi ona tak prędko. Wszyscy mieli głęboką nadzieję, że hitlerowcy nie zdecydują się na atak i wielu z nas nie było przygotowanych psychicznie na to, co miało nastąpić. Około godziny 6. rano obudził nas pierwszy głośny huk wybuchu. Lotnisko zostało zaatakowane z powietrza. Byliśmy przerażeni, zarówno ja, jak i moje rodzeństwo. Nasi rodzice prosili o zachowanie spokoju, zapewniali, że poradzimy sobie, bo przecież możemy liczyć na wsparcie Francuzów i Brytyjczyków. Prawdzie piekło miało dopiero nastąpić.

Reszta dnia 1 września była raczej spokojna. Oprócz oficjalnego komunikatu wojennego i kolejnego wybuchu, który miał miejsce o godzinie 11.00, nie wydarzyło się na razie nic bardziej dramatycznego. Jednakże już w poniedziałek 8 września niemieckie oddziały wkroczyły do Krosna i po chaotycznych potyczkach z Polakami aresztowały część 2. brygady broniącej miasta. Pozostali walczący byli często w ciężkim stanie. Moja mama, która pracowała w szpitalu, miała w związku z tym ręce pełne roboty. Zaproponowała mi, abym dołączyła do służby szpitalnej jako sanitariuszka. Nie byłam ani zadowolona, ani chętna. Chciałam kontynuować naukę, ale szybko okazało się, że Niemcy dzieciom żydowskim zabronili uczęszczać do szkoły. Zdecydowałam się więc na wolontariat w szpitalu. Na początku nie robiłam tam zbyt wiele. Przynosiłam lekarstwa i opiekowałam się osobami, które były w lżejszym stanie. Szybko jednak uczyłam się, nabierałam wprawy i zapamiętywałam niezbędne informacje. Moi bracia wraz z tatą włączyli się w organizację nazwaną „Młoda Polska”, która w późniejszym czasie stała się 15. oddziałem partyzanckim AK. Uczestniczyli i organizowali akcje sabotażowe i dywersyjne. Taki sposób walki wydawał mi się bardziej fascynujący i ciekawy, więc częściowo im zazdrościłam, jednakże zdawałam sobie sprawę z tego, że moja praca jest równie ważna i już od 14 września miałam się o tym przekonać. Przyjeżdżały do nas bowiem dziesiątki samochodów z rannymi. Walki toczyły się wtedy w obrębie Dukli, a dokładniej we wsi Zboiska. Każdym poszkodowanym trzeba było się zająć, niektórzy z nich byli na pół martwi na skutek krwotoku, inni byli wielokrotnie postrzeleni, pojawiały się złamania zarówno otwarte, jak i zamknięte. Pierwszej pomocy udzielały pielęgniarki i sanitariuszki.

Pewnego dnia do szpitala przywieziono ciemnowłosego Niemca w mundurze feldfebla III Rzeszy. Jego stopień odpowiadał polskiemu starszemu sierżantowi. Kierowca, który go przywiózł, tłumaczył, że jest to jeszcze młody żołnierz i podobno oszczędził jednego z naszych generałów. Nikt ze szpitala początkowo nie chciał go opatrzyć, jednakże finalnie przyjęto go na oddział. Chłopak nie był w tragicznym sta-

nie, gdy go przywieziono, ale był nieprzytomny. Wtedy postanowiliśmy skonfiskować jego broń, aby przekazać ją w ręce naszego wojska, następnie opatrzyliśmy rany, które wyglądały najgroźniej i zostawiliśmy go na sali do czasu, kiedy się przebudzi.

Nadchodził czas nocnego dyżuru. Wypadła moja zmiana. Niestety, Niemiec nadal był nieprzytomny, a ktoś musiał go stale nadzorować. Nikt nie był pewien, jak wróg zareaguje na taki akt pomocy. Wybór nocnego strażnika padł na mnie. Nie byłam szczególnie zachwycona tą decyzją, nie miałam jednak na nią zbyt dużego wpływu. Tak więc zostałam na sali z nieznanym i czekałam. Godziny mijały, a ja byłam coraz bardziej zmęczona, dodatkowo zaczęła mnie boleć głowa. Przyglądałam się nieznanemu. Jego dłonie były delikatne, a palce smukłe. Miał regularne rysy twarzy, wyraziste brwi i wysokie czoło. Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że w tak pięknej formie zamknięte zostało nazistowskie zło? Jak to możliwe, że tak miłe dłonie naciskają spust i odbierają życie?

Wiedziałam, że nie mogę zasnąć, dlatego postanowiłam iść po tabletki przeciwbólowe. Trochę czasu zmarnowałam na szukanie ich, ale nie spodziewałam się, że kiedy wrócę, ranny może się przebudzić. Weszłam do sali i stanęłam jak wryta. Widok Niemca w pozycji innej niż leżąca wystraszył mnie. Mężczyzna siedział na łóżku. Odgłos otwieranych drzwi wyraźnie go wystraszył. Odwrócił się w moją stronę i zapytał o coś. Niestety, nie rozumiałam języka niemieckiego, więc po prostu stałam, patrząc na niego.

Zdezorientowany zadał kolejne pytanie, tym razem w języku angielskim.

– Gdzie jestem? Kto ci pozwolił wchodzić na moją salę w nocy?

Jego ton zdawał się być nerwowy, co mnie zaniepokoiło.

– Krośnieński szpital, powierzono mi opiekę nad tobą, w razie gdybyś się wybudził – odpowiedziałam mu na tyle spokojnie, na ile byłam w stanie. W jego postawie wyczuwałam arogancję, co mnie denerwowało, ale w tej niecodziennej sytuacji postanowiłam ukryć negatywne emocje. Mimo wszystko bałam się go. Po chwili ponownie zadał pytanie.

– Jesteś Polką, prawda? Dlaczego mnie zabraliście? Nie jestem waszym żołnierzem! Wiesz, jakie mogą mieć problemy z tego powodu?!

W tamtym momencie byłam niemalże pewna, że jest gotów na wszystko. Po swojej wypowiedzi próbował się podnieść, jednak wyraźnie nie był do tego zdolny. Zapewniało mi to bezpieczeństwo.

– Moja narodowość nie powinna być dla ciebie w tej chwili ważna. Jesteś ranny. Wydaje mi się, że powinienes być wdzięczny, skoro ktoś był na tyle dobry, aby cię uratować.

Zarówno mnie jak i jego denerwowało nasze wzajemne zachowanie. Było wyraźnie czuć rosnące między nami napięcie. Mijały kolejne minuty. Co jakiś czas Niemiec podejmował próby zmiany pozycji. Wyraźnie cierpiał, jednak był zbyt dumny, by poprosić mnie o pomoc. Zadawałam mu proste pytania, jednakże nie udzielał mi na nie odpowiedzi. Po upływie mniej więcej 2 godzin, zdecydował się do mnie odezwać i zapytał:

– Jak masz na imię?

– Możesz zwracać się do mnie Nitka, nie wolno mi podawać swojego imienia w kontaktach z wrogiem.

– Przynieś mi wody, Nitka! – tą formą rozkazu już przekroczył granicę dobrych manier i jakiegokolwiek formy kultury, dlatego postanowiłam powiedzieć mu, co tak naprawdę sądzę o jego zachowaniu.

– Może trochę grzeczniej? Sądzę, że powinienes się najpierw przedstawić, zamiast pytać o moje imię i wydawać rozkazy. Nie traktuj mnie z góry, kiedy to ode mnie zależy, czy będzie ci udzielona przyzwoita pomoc.

Zbulwersowana popatrzyłam na ciemnowłosego. Jego wyraz twarzy mówił wprost, że moja wypowiedź go bardzo zaskoczyła. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi udzielonej przez dziewczynę. Po chwili ciszy odrzekł.

– Walter Schneider. Czy teraz przyniesiesz mi wodę?

Spełniłam jego prośbę, a kiedy szklanka była już pusta, wrócił do pozycji leżącej i najwyraźniej próbował zasnąć.

Okolo godziny 6.00 w szpitalu zaczął się ruch. Było już więcej pielęgniarek i lekarzy, więc pozwolono mi wrócić do domu, ale przed tym zapytano mnie o zachowanie poszkodowanego. Lekarz był ciekaw, czy dowiedziałam się o nim czegokolwiek. Po udzieleniu tego krótkiego „wywiadu” poszłam do domu. Po drodze zauważyłam nerwowe zachowanie Niemców na ulicach. Zatrzymywali i legitymowali pojedyncze osoby. Na końcu chodnika po przeciwległej stronie ulicy zobaczyłam grupę zatrzymanych osób, co wzmogło mój strach. Postanowiłam zmienić trasę do domu i skręciłam w wąską przecznicę. Z daleka jednak słyszałam brutalne niemieckie głosy i rozkazy. Denerwował mnie brak szacunku do drugiego człowieka i pogarda w niemieckich spojrzeniach, jednocześnie przerażało mnie to, jaką krzywdę mogą wyrządzić innej osobie. Kiedy dotarłam do domu, wycieńczona opowiedziałam krótko o swojej przygodzie mamie, która na mnie czekała, a później położyłam się spać. Kiedy się obudziłam, w domu panowała atmosfera wyczekiwania. Wszyscy chcieli usłyszeć opowieść o moim nocnym dyżurze przy Niemcu, którego upomniałam i przywołałam do porządku. Rodzice i bracia byli ze mnie dumni. Mówiono mi, że moja odwaga była godna podziwu i że zdecydowałam się na bardzo duże ryzyko, dyscyplinując wroga. Po chwili jednak cała uwaga skupiła się na osiągnięciach sabotażowych mojego rodzeństwa.

Następnego dnia znów udałam się do pracy w szpitalu i tak mijały kolejne miesiące. Opiekowałam się zarówno Walterem, jak i innymi rannymi. Jak się okazało, Niemiec był niewiele starszy ode mnie. Nasz kontakt z czasem się zmieniał i nawet wydawało mi się, że jego surowy charakter zaczął z czasem łagodnieć. Bywał zamyślony, przestał wydawać rozkazy. Wydawało mi się, że ukradkiem na mnie spoglądał, gdy zmieniałam mu opatrunki. Kilka razy nasze spojrzenia spotkały się, co mnie zawstydzalo i czułam, że się rumienię. Nie chciałam tego. Staralam się nad sobą panować. Zaczęłam jednak widzieć w nim coraz częściej człowieka, takiego jak ja albo moja rodzina i w pewnym momencie złapałam się na tym, że przestałam nazwać go wrogiem i identyfikować ze złem, jakie panoszyło się coraz bardziej w naszym mieście. Stawały mi przed oczyma obrazy łapanek na ulicach i opowieści o rozstrzelaniu lotników przy murze franciszkańskim w listopadzie. Brutalność innych członków niemieckiego wojska budziła we mnie odrazę do jego osoby. Miałam również świadomość, że jest on przekonany, że jestem Polką, ale gdyby dowiedział się prawdy o moim żydowskim pochodzeniu, z pewnością znienawidziłby mnie i być może zabił.

Wkrótce nadszedł koniec mojej moralnej walki. W marcu 1940 roku Niemiec opuścił szpital. Po tym wydarzeniu moje emocje nieco się wyciszyły, jednak czasy nie były spokojne. Nadal była wojna i wydawało się, że prawie przywykliśmy do wszystkich działań, jakie Gestapo przeprowadzało w mieście. Jeden z moich braci – Daniel – był trzykrotnie przesłuchiwany, ale dzięki fałszywym dokumentom nie został wysłany do więzienia i obozu pracy, który znajdował się wtedy na lotnisku. Tragedią okazało się jednak, kiedy podczas łapanek nauczycieli w lipcu 1940 roku zabrano zarówno moją tatę i drugiego brata. Niefortunnie byli wtedy na ulicy. Od tego czasu słuch o nich zaginął. Podobno wywieźli Adriana do więzienia w Jaśle, a tatę nie wiadomo dokąd.

Następne tragiczne wydarzenie miało miejsce 2 lata później – 10 sierpnia 1942 roku. Oddziały SS zorganizowały wtedy pierwszą selekcję rodzin żydowskich. Dzień był słoneczny i ciepły. Nic nie zapowiadało nadchodzącej katastrofy. Obserwowałam przez okno rozłożystą koronę drzewa i patrzyłam, jak jasne promienie przemykają pomiędzy ciemnozielonymi liśćmi. To był sposób, aby choć na chwilę zapomnieć, że jest wojna. Nagle na naszej ulicy rozległy się krzyki, zapanował chaos. Ktoś zawołał: „Uciekajcie!” Usłyszałam na klatce schodowej odgłosy ciężkich niemieckich butów. Jako jedną z pierwszych osób pojmano moją mamę, która akurat wracała z dyżuru. Ja

i Daniel nie mogliśmy nic zrobić, widząc, jak na chodniku Niemcy ustawiają ją pod murem w szeregu. Było to zbyt ryzykowne. Do dziś czuję suchość w ustach, gdy o tym pomyślę. Jednak wtedy brat wykazał niezwykle opanowanie. Pamiętał, że na takie wypadki mieliśmy awaryjne rozwiązanie – zejście do piwnicy i niewielkie okienko wychodzące na tyły kamienicy. Uciekaliśmy. Przebijaliśmy się przez tłum wystraszonych ludzi, którzy uciekali w popłochu, przewidując najgorsze. Każdy wydawał się szukać jakiegoś miejsca do schronienia. Nagle w tym szaleńczym pędzie, kiedy myślałam, że już jestem blisko obrzeży miasta i tylko jeszcze jeden dom dzieli mnie od pobliskiego zagajnika, wpadłam na kogoś, kto wyłonił się zza rogu. Podniosłam wzrok do góry, ale to, co ujrzałam, przerosło mnie zupełnie. Zobaczyłam orzechowe oczy, które często mnie obserwowały w szpitalu, a w których teraz malowało się zaskoczenie. To był on. Osobą, na którą wpadłam, był Walter. Obok wyłonił się inny gestapowiec. Walter – tak samo zszokowany jak ja – patrzył chwilę w osłupieniu na mnie, po czym spojrzał na swojego partnera. Byłam zaskoczona do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie zauważyłam, kiedy nieznajomy Niemiec przystawił pistolet do czoła mojego brata. Odruchowo drgnęłam, chciałam go ratować. Był ostatnim członkiem mojej rodziny... Jednak znajomy mi ciemnowłosy powstrzymał mnie. Czułam, jak łzy leciały mi po policzkach, a serce łomotało w piersiach. On z kamienną twarzą patrzył na moje załamanie. Starał się wzrokiem uspokoić moje rozbiegane oczy. Po chwili odezwał się po angielsku:

– Jeśli nie chcesz, żebyśmy oboje zginęli, biegnij przed siebie. Postaram się go uratować.

Nie wierzyłam w jego słowa, ale zgodnie z poleceniem pobiegłam, kiedy się uchylił i, jakby pchnięty przeze mnie, przewrócił się na ziemię. Usłyszałam tylko za sobą jakieś niemieckie przekleństwa i wpadłam w dzikie krzaki, które rosły gęsto nad rzeką. Długo biegłam, ale na szczęście nie usłyszałam żadnych strzałów. Daniel nie dołączył do mnie, chociaż do późnej nocy czekałam w oddali od miasta nad brzegiem rzeki. Nie mogłam znaleźć noclegu, ale rodzina jednej z moich przyjaciółek znalazła mnie i przysparnęła. Na moje szczęście nie wyglądałam jak Żydówka. Znajomi skutecznie chronili mnie przed niemieckim wojskiem i policją.

Dzięki Walterowi uciekłam z łapanki i uniknęłam zatrzymania. Mijały miesiące, a ja w głębi duszy liczyłam, że Schneider dotrzyma swojej obietnicy i uwolni przynajmniej tę jedną bliską mi osobę. Fakty były jednak takie, że naraziłby tym tylko siebie już drugi raz i znowu przeze mnie.

Amelia Śnigórska – Tajemnicze biesiady

Od niedawna na krośnieńskim rynku można było słyszeć radosną muzykę, rozmowy jak i huk tłuczonych naczyń oraz przewracanych stołów. W dawnych czasach takimi cechami odznaczały się biesiady. U nas w Krośnie taka biesiada odbywała się co noc w jednej z kamienic. Nikt nie wiedział, skąd dobiegają odgłosy. Gdy tylko wybijała północ, impreza się zaczynała, lecz około piątej rano wszystko nagle cichło.

– Świetna impreza! – krzyczy jeden z duchów.

– Dzięki, ale dopiero zaraz będzie zabawa – odpowiada Dobromir (duch karła).

– A co się zaraz stanie? – dopytywała się zjawa.

– Przybędzie Dobromiła z dworem... – odpowiedział zamyślony karzeł.

Po około dziesięciu minutach można było usłyszeć radosne śpiewy. Dźwięki te dochodziły spod drzwi kamienicy, w której zaczynała się biesiada.

– Słyszycie to?! Dobromiła przybyła! – krzyknął Dobromir.

– Przybyła nasza kochana Dobromiła! – huknęły duchy.

– Idźcie otworzyć drzwi – powiedział już trochę bardziej spokojnie karzeł.

Niedługo po wydanym rozkazie do sali weszła pięknie wystrojona w białą suknię... karliczka.

Wtedy dopiero zaczęła się zabawa. Wszyscy jedli do syta i pili do omdlenia. Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi. Była pierwsza w nocy, więc zjawy myślały, że mogą spokojnie balować.

Przeliczyły się jednak. Kiedy jeden z dworzan Dobromiły poszedł zobaczyć, kto o tej godzinie puka do drzwi, zauważył trzech zaspanych ludzi. Gdy tylko poszedł powiadomić o tym parę karłów, oni od razu zareagowali. Wszystkie duchy przybyłe z karliczką zniknęły, a pozostali biesiadnicy pogasili światła i pochowali się po domu. Niezapowiedziani goście po kilku minutach odeszli, ale co noc wracali mniej więcej o tej samej porze, a po około tygodniu zaczęło to denerwować biesiadników. Nie wiedzieli oni, czemu obcy ludzie dobijają się do ich drzwi o tej porze. Starali się zapobiegać niechcianym wizytom poprzez przesunięcie godzin biesiad, lecz nawet to nie pomogło. Po miesiącu duchy przyzwyczały się do swoich natrętnych sąsiadów i zaczęły ich ignorować. Codziennie pod drzwi przybywało więcej ludzi, którzy chcieli poskarżyć się na swoich głośnych znajomych z sąsiedztwa. Kiedy zrozumieli oni, iż nie ma po co stać pod drzwiami, wybrali się na komisariat policji, a następnie do biura detektywa. Liczyli na pomoc policji, ale zostali również zignorowani przez zjawy.

Na szczęście detektyw wkroczył do akcji. Pierwszej nocy założył kamery, których zadaniem było monitorowanie głównego wejścia do kamienicy i całego rynku. Po obejrzeniu nagrań z pierwszej nocy detektyw był zdumiony. Około północy pod drzwiami... znikąd pojawili się jacyś ludzie i niska postać. Po dłuższym śledztwie okazało się, iż są to postacie będące częstymi gośćmi w tej kamienicy. Detektyw był zaintrygowany całą sytuacją, więc pewnej nocy osobiście zjawił się na miejscu przed północą. Chciał sfotografować tajemnicze postacie, aby policja mogła znaleźć je w swojej bazie danych. Po tym jak detektyw przekazał fotografie policjantom, usłyszał złe wieści. Okazało się, iż tych ludzi brak w bazie danych. Śledczy był zdany na siebie. Udał się do Urzędu Miasta, który posiadał dokumenty sięgające około 1800 roku. Znalazł tam papiery mówiące o tych postaciach, lecz nie spodziewał się tego, co przeczytał. Każda osoba była martwa! Wszystko to przyprawiło detektywa o zawrót głowy. Kiedy przekazał te informacje zleceniodawcom, oni uznali go za kłamcę. Mimo to dalej pozwolili mu pracować przy tej sprawie. Był on szczęśliwy z tego powodu, gdyż nie mógł się doczekać min jego niewdzięcznych klientów po tym, jak udowodni im swoje przekonania. Detektyw praktycznie przez trzy miesiące zarywał noce, aby obserwować tajemniczą kamienicę. Dopytywał on ludzi przechodzących tamtędy, czy nie słyszeli oni nigdy dziwnych dźwięków i hałasów dochodzących z domostwa. Ludzie zawsze zaprzeczali, mówiąc, iż jest to bardzo spokojna okolica, w której można odpocząć od miejskiego harmideru. Pewnej nocy zdesperowany detektyw podszedł i zapukał do drzwi. Nagle wszystko zamilkło. Jego obawy się potwierdziły. Nigdy nie będzie w stanie rozwiązać tej zagadki. Zawiedziony odwrócił się i odszedł. To co wydarzyło się kolejnej nocy, kiedy oglądał kamienicę po raz ostatni oraz zbierał swoje kamery, zaszokowało chyba wszystkich. Gdy śledczy odchodził, drzwi domu się otworzyły, a z nich wyszła para karłów.

Podeszły one do inwigilatora i zaprosiły go do środka.

– Witaj. Jesteśmy Dobromir i Dobromira. Przepraszamy za wcześniejszą ignorancję. Chcieliśmy cię zaprosić do środka – powiedziały dwie małe zjawy.

– Dziękuję za zaproszenie. Bardzo chętnie je przyjmę, ale chciałbym z wami o czymś pomówić – odpowiedział wniebowzięty detektyw.

Wszedł do środka i spędził z duchami prawie całą noc. Pod koniec spotkania omówił z nimi kwestie nocnego hałasu, który nie pozwalał innym ludziom mieszkającym w okolicy spać. Biesiadnicy zgodzili się na taką umowę:

1. Biesiada będzie się odbywała tylko raz w tygodniu – z piątku na sobotę.
2. Może ona trwać najdłużej do czwartej w nocy.
3. Śledczy oraz policja postarają się w tym dniu, aby do drzwi nie pukali żadni nieproszeni goście.

Minął już rok od tego dochodzenia. Mieszkańcy pobliskich domów i kamienic przestali się skarżyć na nocny hałas. Do tej pory na rynku można usłyszeć wesołą muzykę i zabawę. Niestety, tylko jedna osoba z żywych ma na nią wstęp – detektyw.

Miłosz Dobrowolski – O niezwyklej miłości zwykłego wojaka

Wojna w Krościenku już dawno ucichła, lecz wciąż dawała ludziom znaki, że trwa. Jednym z nich było powoływanie kolejnych chłopów do walki na chwałę wielkiego cesarza. Tylko właśnie: czy był wielki? Tu na wsi nikt go nie znał, ani nie widział. Tutaj życie toczyło się zupełnie normalne. Ludzie się rodzili, żenili i umierali. Jedynie mężczyźni brakowało, bo właśnie walczyli za Franciszka Józefa.

W roku 1918 nie zawarto więc zbyt wielu ślubów, ale odbył się jeden wyjątkowy. Po długich staraniach niejaki Jan Marszałek ożenił się wreszcie z Zośką Pelczarówą. Młodzi bardzo się kochali, ale na początku rodzice panny młodej nie chcieli jej wydać za Jaśka, bo on ani przystojny nie był, ani majątny. Lecz między nim a Zośką było gorące uczucie, które pokonało wszystkie przeciwności. Pan młody sam nie wiedział, jakim cudem dostał za żonę Zosię. Traktował ją jak prezent od losu. Pierwsze miesiące małżeństwa mijały spokojnie. Uczucie rozkwitało, lecz początkiem maja stało się coś, czego Jasiek obawiał się najbardziej od jakiegoś czasu. Oto ten młody chłopak miał iść na wojnę. Nie wiedział nawet właściwie, o co w niej chodzi. Proboszcz tylko powtarzał: – Polak walczy z Polakiem.

Rzeczywiście, ksiądz miał rację, bo oto Polak z zaboru rosyjskiego walczył z Polakiem z zaboru austriackiego. Jasiek w pierwszych dniach maja otrzymał informację, że ma się stawić przed komisję poborową. Zosia wypłakała chyba wszystkie łzy. Bała się, że może mu się coś stać, bo jak mówiła mamusia:

– Z tego twojego Jaśka to takie chuchro, że nawet wiatr by go zdmuchnął.

Wojsko cesarskie było podobno wielką potęgą, ale jej ukochany nie pasował w żaden sposób do niego, bo on po prostu nie był do wojaczki stworzony. Nawet jego rodzice od dziecka wytykali mu, że jest wielkim fajtłapą. Jasiek nadawał się za to do rzeczy związanych z nauką, bo bądź co bądź ukończył wszystkie klasy tutejszej szkoły powszechnej. Uczyłby się dalej, ale on był zwykłym krościeńskim chłopem, który jednak często rozmyślał, lecz nie tylko o sprawach przyziemnych. Dumał o sprawach, które z pozoru zupełnie nie pasowały do potomka rolników: Skąd się wziął świat? Kim jest Bóg? Kim jesteśmy my ludzie? Niestety, nie znalazł odpowiedzi na te pytania. Jasiek bardzo kochał swoją ojczyznę, ale dla niego ojczyzną nie była Polska, lecz Krościenko. Trzeba przyznać, że widoki z chaty Jaśka zapierały dech w piersiach. Te bociany, które co roku wracają tutaj, aby lato spokojnie przeżyć. Te łąki, na których rośnie tyle różnych kwiatów, przypominających tęczę, pojawiającą się po deszczu. Te jabłonie, które kwitnąc, były jak obłoki na niebie. I te... piękne, rozłożyste dęby, co to same opowiadały długą historię wsi.

Stawienia się przed komisję nie można było uniknąć, więc Jasiek dzień później zameldował się przed nią. W jej składzie zasiadali: oficer, tutejszy wójt i ksiądz Wikliński, który zastępował chorego proboszcza. Po krótkiej rozmowie stwierdzono, że chłopak nadaje się do wojska. Otrzymał kartę powołania, Jasiek już wiedział, że będzie walczył. Odwrotu nie było. Wróciwszy do domu, spakował najpotrzebniejsze rzeczy i ruszył w drogę do powiatowego miasta Krosna. Odwiozł go jego teść, Władek. Wysadził go koło ceglanego budynku, w którym znajdował się urząd austriacki. Nic mu nie powiedział na pożegnanie. Szturchnął go jedynie w ramię i odjechał. Jasiek został

sam. Myślał, że serce wyskoczy mu z piersi, bo czuł ogromny strach. Najbardziej obawiał się, że przydzielą go do walki na drugim końcu świata. Nie chciał opuszczać swojego Krościenka, a zarazem ukochanej Zosieńki. Troszkę się wahał, zanim tam wszedł, ale wreszcie podjął decyzję, że przekroczy próg tego budynku. Długo nie musiał czekać na swoją kolej, bo praktycznie od razu po przyjeździe został przyjęty. W pokoju siedziało trzech austriackich urzędników.

– Dzień dobry, ja przyszedłem...

– To podejdź do biurka i siadaj na krześle – przerwał mu najstarszy.

Jasiek zrobił tak, jak kazano. Widać było, że ten urzędnik był już bardzo zmęczony swoim życiem. Na karku miał koło 60 lat. Włosy jego były siwe, ale wielkie wąsiska nadal pozostawały czarne. Jasiek nawet bał się trochę tych wąsów, bo u żadnego krościeniaka takich nie widział.

– Imię i nazwisko? – zapytał urzędnik wpatrzony w kartkę papieru.

– Jan Marszałek – odpowiedział dumnie Jasiek.

– Jak? – zapytał dłubiąc w nosie.

– No Jan Marszałek – powtórzył z dużą śmiałością Jasiek.

– Ty, Heinrich, mamy tu marszałka – zaśmiał się szyderczo urzędnik.

Później poinformował Jaśka, że zostanie infanterystą, czyli szeregowym piechoty. Przydzielono go do walki na froncie włoskim. Miał się udać do jakiegoś miasteczka w Alpach. Jaśkowi, gdy się o tym dowiedział, pociemniało w oczach. Po chwili jednak się ocucił i zobaczył nad sobą tego samego starego urzędnika. Niestety, to nie był zły sen. Żołnierz austriacki poinformował go, że jutro rano wyrusza stąd z innymi żołnierzami.

Nie spał przez całą noc, bo wciąż myślał, jak się dalej potoczy jego los. Rano zaczęli się zbierać kolejni Polacy. Wśród nich Jasiek rozpoznał swojego kolegę, Franka. Był z niego chłop jak dąb, dobrze zbudowany i bardzo wysoki. Tężyżnę zawdzięczał temu, że ukończywszy tylko dwie klasy szkoły ludowej, poszedł pomagać rodzicom na roli.

– Ty też na front włoski? – dopytywał się Jasiek, witając się ze znajomkiem.

– Tak, dobrze, że jest tu ktoś, kogo znam, bo jakbym miał tu być sam, to chyba bym osiwił od razu – odpowiedział żartobliwie.

Dla Franka powołanie do wojska było wielką szansą na lepsze życie. Wierzył, że zostanie bohaterem tej wojny.

Okolo południa grupa 400 chłopów wyruszyła w stronę stacji kolejowej, skąd mieli pojechać do Austrii, a stamtąd na piechotę udać się w Alpy, w okolice rzeki Piawy. Po dwóch dniach przybyli do małego miasteczka, którego nazwy Jasiek nie umiał nawet przeczytać. Zdziwiło go, że są tam domy z kamiennych cegieł. W Krościenku Jasiek takich nie widział, tu chłopci budowali domy z drewna i słomy. Polskim wojakom bardzo się spodobały zwłaszcza dziewczyny. Jeden śmiałek z Korczyny nawet próbował do którejś podejść, ale źle się to skończyło. Kończył się też piękny, pogodny maj. Zostali w miasteczku do 14 czerwca; na koszarowym placu ćwiczyli godzinami musztrę, nazywaną przez żołnierzy egzycyrką. Jaśkowi najmniej podobał się czas glejsibunków, czyli ćwiczeń gimnastycznych. Nie był z niego przecież sportowiec, żeby tyle ćwiczyć. Jednak trzeba przyznać, że nasz Jasiek stał się przez to Janem, bo z chuchra zrobił się dobrze zbudowanym mężczyzną. Co ciekawe, spotkał tu swojego przyjaciela z czasów szkolnych – Romka. Choć bardzo różnili się charakterami i spojrzeniem na świat, to i tak dobrze się dogadywali. Łączyło ich jeszcze jedno: obaj w Krościenku zostawili swoją miłość. Z tą tylko różnicą, że Jasiek żonę, a Romek kandydatkę na żonę.

15 czerwca 1918 roku zaczął się tak samo jak każdy poprzedni dzień. Jasiek wstał najwcześniej ze wszystkich, aby obejrzeć po raz ostatni wschód słońca, bo dzisiaj mieli wyruszyć w bój. Podziwiał go z zachwytem codziennie: o piątej rano na niebie zawsze pojawiała się jasna plama światła, która stopniowo zmieniała miejsce. Na początku kolor nieba bywał ciemnoniebieski, ale wraz z upływem czasu stawał się błękitny.

Promienie, które padały na ziemię, były dla Jaśka jak promienie nadziei na nowy, lepszy dzień. Chwilę po tym spektaklu natury wszyscy szykowali się już do wyruszenia w bój. Dołączyli żołnierze z 10. i 11. armii austriackiej. Polscy chłopcy mieli właśnie walczyć u ich boku. Dowódcą był Feldmarszałek Conrad. Na placu wygłaszał przemówienie do podwładnych. Jasiek mało zrozumiał, ale jedno kluczowe zdanie jakoś do niego dotarło: „Zniszczcie wszystko, co się znajdzie przed wami”. Te słowa utkwiły mu w głowie i nimi właśnie kierował się podczas walki. W niecałą godzinę wyruszyli. Ich celem było zdobycie włoskiego miasta, Werony. Po trzech godzinach marszu zatrzymali się niecały kilometr od celu.

– Ale tam są ludzie, ja mam ich zabijać? – zawahał się Jasiek. – Ale rozkaz to rozkaz...

Nacisnął pierwszy raz spust karabinu. Huk, dym, kula trafiła w jednego z żołnierzy.

– Zabiłeś go, będziesz potępiony – odezwało się Jaśkowe sumienie.

Lecz on go już nie słuchał. Zaczął kierować nim instynkt przetrwania. Nie zważał na to, że szedł, jak anioł śmierci. Czuł, że ma w swoich rękach wielką moc. Żołnierze austriaccy, dzięki walce takich jak Janek, mieli przewagę nad wrogiem. Byli już coraz bliżej miasta, lecz nagle zaczęło przybywać Włochów, jak mrówek w mrowisku. Rozpoczęli ofensywę. Zarządzono odwrót. Kule latały gęsto w powietrzu. Jasiek strzelał na oślep, nie patrząc, czy to jego przeciwnik, czy nie. Robił to z powodzeniem. Lecz nagle zorientował się, że ktoś mierzy do niego.

– Ty... ty... ty... makaroniarzu niemyty – krzyknął pełen nienawiści.

Nie dał sobie w kaszę dmuchać, więc wyszedł z okopów, celując w tego włoskiego wojaka. Ale tamten był szybszy. Kula trafiła w środek serca Jaśka. Zaskoczony zdążył wyszeptać tylko trzy słowa:

– Przepraszam Cię, Zosiu.

Ciało jego pochowano we wspólnej mogile atakujących i broniących. Życie to sprawa dość marna. Człowiek się rodzi i później umiera. Jego istnienie gaśnie jak lampa naftowa w zimowy wieczór. W tamtej bitwie przez pierwszy tydzień zginęło aż 40 tysięcy żołnierzy austriackich. Oby nad wszystkimi Bóg się zlitował i oby teraz mogli wyprasać u niego pokój na Ziemi, bo znów te bezsensowne wojny, w których giną niewinni ludzie, skazując swoich bliskich na rozpacz i tęsknotę... Śmierć Jaśka nie była specjalnie bohaterska: nie uratował niczyjego życia, ani nie wpłynął też specjalnie dobrze na przebieg tej bitwy, którą przegrano; może przez niego. Tyle że umarł od razu i się nie męczył. Nie zdążył także przekazać Zosi, że nadal ją kocha, ale ona o tym wiedziała nawet bez jego słów.

Piękny październik 1919 roku, ciepły i złoty, stał nad Krościenkiem. Zosia Marszałczyńska gotowała uroczysty obiad, bo miała ją odwiedzić siostra z rodziną. Chciała jeszcze pozbiierać w sadzie trochę śliwek dla siostrzeńców, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Pobiegła szybko, bo wciąż czekała na Jaśka. Niestety, jej oczom ukazała się sąsiadka Anielka Szmydówna, największa plotkara we wsi.

– Zośka, słyszałaś, że nowy proboszcz do nas przyjechał?

– Słyszałam – mruknęła, wzruszając ramionami.

– On podobno wraca znad jakiejś rzeki we Włochach, może widział twojego Jaśka – nie dawała za wygraną Anielka.

Zośka popędziła tak jak stała w stronę kościoła. Nowy proboszcz akurat oglądał świątynię wraz z księdzem Wiklińskim. Rymnęła na kolana i zapytała:

– Czy widział wielmożny ksiądz w tych Włochach mojego męża, Jaśka Marszałka? Taki chudy z brązowymi włosami?

– Nie, a nawet gdyby, to tam było mnóstwo mężczyzn o podobnym wyglądzie. Może twój mąż zaciągnął się do polskiego wojska, żeby walczyć za nasz kraj. Pomódl się za niego. Może żyje... – zasugerował nowy pleban, Jan Telma. – Rozmawiałem w drodze powrotnej z dwoma krościeniakami. Jeden to Franek, z Wielkiej Strony, ale on się

zgłosił na ochotnika na front polsko-ukraiński. A drugi to był chyba... Staszek albo nie, to był Romek, tylko nazwiska nie pamiętam. Może oni coś wiedzą...

Zosia nie czekała, pobiegła szukać Romka, podobno taki chłop mieszkał niedaleko dworu. Zapukała do drzwi chaty. Otworzył jej młody mężczyzna o brązowych włosach i z lekko widocznym zarostem.

– Walczyłeś w wojsku austriackim? – zapytała niepewnie kobieta – bo... bo... mój mąż, Jasiek Marszałek, walczył gdzieś na froncie włoskim i jeszcze nie wrócił... Może go widziałeś?

– Nie, niestety, nie kojarzę – odpowiedział szybko i zatrzasnął Zosie drzwi przed nosem.

Tak naprawdę Romek wiedział, że Jasiek nie żyje, ale nie chciał jej zranić. Dla spokoju sumienia wypowiadał się z tego. Ksiądz Wikliński powiedział mu, że skłamał w dobrej intencji, więc Bóg mu wybaczy ten grzech. Zosia po wizycie u Romka straciła nadzieję na powrót Jaśka, ale mimo to na dnie serca wciąż tliła się myśl, że może walczy gdzieś u naszej wschodniej granicy... Tak jak Franek.

Maj 1980. Staruszka Zosia umiera. Przez dziesiątki lat co dzień modliła się o powrót męża, ale nic nie pomogło. Przyszedł jednak czas, że od paru tygodni nie wstawała z łóżka, bo już była bardzo słaba. Opiekowała się nią córka sąsiadki Anielki, Hanka. Tego wiosennego poranka przyszła jak zwykle do swej podopiecznej. Trafiała na moment, kiedy starsza pani szeptała: „Jasiu, jak dobrze że przyszedłeś”. I właśnie wtedy przestała oddychać.

– Najwidoczniej jej miłość i modlitwa sprawiły, że Jasiek po tylu latach oczekiwania przyszedł i zabrał ją do nieba. Teraz będą mogli być razem na wieki... – westchnął w zamyśleniu proboszcz Jan Wais po wysłuchaniu stojącej u drzwi plebanii rozdygotanej Hanki.

W Krościenku wierzą, że prawdziwa miłość przetrwa wszystko... nawet śmierć.

Mikołaj Krukierak – Tajemniczość i spokój zimy

– Skąd ja kojarzę ten dom? Aha, to był pierwszy dom, jaki zbudowałem w mojej ulubionej grze komputerowej. A to? Co to za maszyna? Czy to jeden z moich projektów? Nie pamiętam, natomiast widzę, że robi wrażenie. Chyba nazywała się jakoś „Projektor”, albo „Generator anty...” „Antygrawitacji”. Okolica jest zasłana różnymi maszynami, z czego jedna z nich wygląda jak jakiś kosmiczny czołg. Może to jest właśnie kosmiczny czołg! A co to? We mgle dostrzegam jakiś kontur wielkiego budynku, który zdaje się być fabryką. Postanawiam podejść bliżej, lecz nie udaje mi się to, gdyż nagle sen się urywa i budzę się z myślą: „No nie, już czwarty raz śni mi się ta dziwna fabryka i nigdy nie mogę dowiedzieć się, co jest w środku!”. Powoli otwieram oczy, łapiąc ostrość. Czuję się wypoczęty. Powoli wstaję, łapię pion, otwieram zasłony, a tam... śnieg! Od zawsze uwielbiałem zimę oraz ten biały puch, który przykrywał całą okolicę, nawet tam, gdzie mój wzrok nie sięga. Z nieba spadają małe płatki śniegu. Powoli, lecz dość gęsto, tak bardzo, że nie widzę domu mojej sąsiadki! A stoi on, na oko, 50 metrów dalej. Zima ma pewien urok. Może nie wszyscy go widzą, zwłaszcza „zimosceptycy”. Ta biała pora roku ma w sobie coś z tajemnicy. Gdy patrzę na te białe pola, przykryte jakby wielką kołdrą, czuję, że kryje się w niej coś wyjątkowego. To coś... Czekam na mnie. Nie mam pojęcia, czym to coś jest, ale dość refleksji na temat zimy. Niestety, ale czas iść do szkoły!

W szkole rano jest nawet spokojnie. Idę sobie do klasy, czasem spotykam kogoś znajomego. W końcu pierwsza lekcja. Jest to historia, mój ulubiony przedmiot. Naprawdę interesują mnie mapy, różne państwa, flagi, traktaty, królowie... Ciężko jest to wszystko spamiętać, ale to są bardzo ciekawe rzeczy. Jedna rzecz jest wręcz magiczna. Na paruset stronach atlasu czy książki można spisać całą historię naszego świata. A co z innymi światami, których nie odkryliśmy? Czy takowe istnieją? Jakie dzieje wpłynęły na nie lub jakie wpływają? Duuużo tajemnic do odkrycia nam pozostało...

Następny jest język polski. Pani wzięła do pytania Szymona z drugiej ławki. Ma same złe oceny, ale jakoś mało go to obchodzi. Ważne, że nie weźmie mnie, bo zapomniałem o dzisiejszej odpytce! Omawiamy różne zasady ortograficzne i tym podobne sprawy. Niech nauczyciele się nie obrażają, ale według mnie nie jest to nic ciekawego. Kolejna jest fizyka, tworzymy przewody elektryczne. Całkiem przyjemne jest patrzeć na to, gdy połączysz, nawet w powietrzu, lekko dotykając, dwa małe kable, a żarówka się zapala. To niesamowite, że coś tak małego, niedostrzegalnego, rozświecila żarówkę!

Następna jest chemia. Moja klasa „urzęduje” w sali numer 19. Położona na piętrze, blisko schodów, jest całkiem spora. Wzdłuż prawej ściany, ustawione są szafki, których nigdy nie wystarczyło dla wszystkich. Nad szafkami są dwie tablice korkowe, na których jest zawieszona wielka tablica Mendelejewa, co jest nieco zabawne, bo pomaga nam w pisaniu sprawdzianów z chemii. Przy ścianie, równoległej do wejścia do klasy, stoją kran i trzy wielkie szafy z kosmiczną ilością zabezpieczeń. Mimo tego wszystkiego, mój kolega pewnego razu bez problemu ją otworzył i zyskał dostęp do wszystkich substancji w jej wnętrzu. Jedną z nich jest kwas chlorowodorowy (jeny, jaka długa nazwa), z którym robimy wiele doświadczeń. Ławek w sali jest około 15, może więcej, 24 osoby na pewno się w nich wszystkich zmieszczą. Mamy też w sali coś ciekawego, czego nie ma żadna inna klasa. Mamy szkielet o imieniu Jaś. I zawsze, gdy siadam w swojej ławce, szkielet się na mnie patrzy. Jakby chciał podbiec do mnie i mnie chwycić czy przestraszyć. Dziwnie jest mieć coś takiego w pomieszczeniu, ale wszystkie inne klasy się nim bawiły i często doznawał urazów, przez co trafił do nas.

Pani kazała ustawić się nam wokół wysuwanego stołu z blatem z płytek ceramicznych. Wyciągnęła parę rzeczy z szafki, w tym kwas z niesamowicie długą nazwą, zaczęła go wlewać do probówek i mieszać z różnymi innymi substancjami. I moim oczom ukazała się nieziemska rzecz. Płyny zaczęły zmieniać barwy, najpierw na niebiesko-fioletową, potem na zieloną. Mieszają się one w naprawdę bajeczny sposób, widać dokładnie każdy szczegół, każdą drobinę substancji, zmieniającą kolor. Piękne rzeczy można uzyskać podczas zwykłej prostej reakcji. Interesujące...

O informatyce, angielskim i matematyce wolę nie opowiadać, gdyż dla mnie te przedmioty są nużące i raz, gdyby nie mój przyjaciel, Wojciech, to zasnąłbym (dosłownie). Wolę opowiedzieć o tym jak bardzo nie mogę się doczekać kółka z historii w piątek. Ale no tak, jeszcze dużo czasu zostało do tego.

Jadę do mojego domu samochodem, razem z tatą. Patrzę znudzony w mijane obrazy za oknem. Myślę sobie: ciekawe gdybym tak mógł przenieść się w tej chwili w inne miejsce. Albo gdybym mógł w ogóle przenosić się w inne miejsca. Tylko dokąd? Może do Rzymu? Znam trochę łacinę i włoski, a poza tym marzę o zwiedzeniu zabytków w stolicy dawnego Cesarstwa Rzymskiego i poznania więcej aspektów historycznych tej wspaniałej cywilizacji. *Historia vitae magistra*. A może jednak do Budapesztu? Parlament Węgier jest przepiękny! Moi rodzice byli tam kiedyś, gdy miałem chyba 8 lat. Może mniej. Parlament ma ponad sto lat i jest największym budynkiem

na Węgrzech. Ma bardzo dużą powierzchnię, 18000 metrów kwadratowych (większy niż małe państwa jak Watykan czy San Marino).

– Jak mógłbym to napisać? *„Moim skromnym zdaniem...”* Nie, głupio brzmi. *„Według mnie...”* *„Według mnie, Róża w „Małym Księciu” była oschła wobec niego oraz ciągle coś od niego wymagała, aby...”* *„Aby zwrócić jego uwagę na siebie”*. Hmm, bardzo dziwna metoda podrywu. Nawet się nie dziwię, czemu Mały Książę opuścił swoją planetę.

– Mikołaj! Chodź na obiad!

– Idę!

„Bała się, że Książę odrzuci jej miłość. Dobra, napiszę to później.”

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie. Choć śnieg wygląda, jakby dawał ociupinkę jasności do mroku, który nastaje już o 16-tej. Bez światła słonecznego przez praktycznie trzy czwarte dnia nie da się wytrzymać. Mimo tego, jeśli jest wolne, mogę się pobawić na zewnątrz z psem. Kochany, puchaty Golden Retriever. Chyba nigdy nie straci chęci na zabawę ani na jedzenie. Naprawdę, nie ważne czy mam jedzenie przy sobie, czy trzymam w dłoni coś szeleszczącego, mój pies zawsze podejdzie do mnie w tak cichy sposób, że kiedyś, gdy się odwróciłem i zobaczyłem tego siedzącego tuż przy mnie futrzaka, prawie się zakrztusiłem. Serce skoczyło mi jak Adam Małysz.

Chyba pora poczytać jedną z osiemdziesięciu dziewięciu książek o drugiej wojnie, lotnictwie, historii i tematach wszelakich, które znajdują się na półkach wielkiego regału i mniejszej szafki w moim pokoju (teraz poszedłem i je policzyłem, serio). Nie wszystkie przeczytałem do końca, choć prawie wszystko z nich pamiętam.

Mrok nie jest taki straszny, jak myślałem jako małe dziecko. Panuje tu... taki spokój. Cisza. Chociaż w tle słyszę lekki szum. Pewnie to wiatr potrąca ogołocionymi z liści gałęziami gdzieś na „Wielkiej Górze”. Nie jest znowu taka wielka. Ma trochę wysokości, ale nie jest to góra, a raczej pagórek. Tę nazwę wymyśliła moja mama wraz z rodzeństwem, gdy chodzili tu jeździć na sanki. Byli młodszy ode mnie, mieli wtedy po 8-10 lat. W tamtych czasach nawet krzewy tam nie rosły. Jedynymi drzewami były dzikie jabłonie, które wydają twarde i kwaśne, lecz naprawdę smaczne owoce. Stoją one do dzisiaj. Mimo tego tamta „góra” kryje pod sobą bogactwo, które się już kończy. Jest to ropa naftowa. Pośrodku lasu stoją dzisiaj w zaciśniętej maszynie z wysokimi wieżami, które włączają się same o godzinie 19-tej wieczorem lub 11-tej przed południem. Wieczorem daje to nieziemski klimat. Słyszę prawie codziennie, jak stary silnik elektryczny, jeszcze radzieckiej produkcji, próbuje uruchomić pompę, stękając i jęcząc przy tym żałośnie. Te pompy, gdy byłem mały, nazywałem „kiwaczami”, bo się kiwają. Złóże ropy pod tą górą się prawie skończyło, dzisiaj wydobywają tylko jakby „gluta”, aby móc produkować smary do maszyn. Dawniej, złoża były tu obfite, mnóstwo „kiwaczy” stało na polach, połączonych linami z silnikiem. A w teraźniejszości dwa stoją na „Wielkiej Górze”, gdzie jeden od dziesięciu lat nie jest podłączony liną do silnika, kolejne dwa po drugiej stronie ulicy, o nazwie „Ślaczka” (od znajdującego się tam potoku), z czego jeden stoi tuż przy ulicy i pracuje każdego wieczoru, a drugi wyznaczony został do rozebrania cztery lata temu. Kawałek dalej, można się natknąć na kolejne dwa szyby naftowe, o których bardzo mało wiem, ale słyszałem, że kiedyś pracowały. Są one naprawdę blisko domów, co jest nieco niebezpieczne. Ostatnimi obiektami z okolicznej kopalni są magazyn ze zbiornikami ropy, częściami zamiennymi, jakimiś budynkami oraz zespołem pięciu szybów (wszystkich sprawnych), które są ustawione po dwóch stronach rzeki. Są połączone linami, które biegną pod drewnianą kładką i rozdzielają się pojedynczo do wszystkich „kiwaczy”.

Jako ośmio- czy dziesięcioletek bardzo interesowałem się tymi maszynami. Budziły we mnie jakby... zadowolenie. Nie potrafię określić tego uczucia, ale sprawiało, że niesamowicie chciałem iść i zobaczyć je znowu i znowu. Dzisiaj też mam takie uczucie, ale nie takie mocne. Istnieje jeszcze jedna kopalnia, na górze tym razem dużej, w przeciwnym kierunku od poprzedniej. Akurat idę w tym kierunku i widzę, że z samego czubka wystają dwie wieże, jedna do szybu, który jest nowo wybudowany i czerpie ropę z bardzo głęboka, a drugi jest bardzo stary i pracuje dość rzadko. Stoją tam jeszcze trzy szyby: jeden do wody złożowej, nieczynny odkąd go pierwszy raz zobaczyłem, a pozostałe dwa są mocno zardzewiałe, pracują powoli każdego dnia, stojąc na polach i spoglądając na wiejskie domy w okolicy. Na tę górę prowadzi ścieżka, całkowicie zasłonięta gęstym lasem. Gdy wyjdzie się z tej puszczy, po prawej stronie stoi nieczynny szyb. Od maszyny biegną liny w dwóch kierunkach, których końca nie można dojrzeć, ponieważ zasłania go las. Gdy jednak będzie się szło ścieżką dookoła niego, dojdzie się do wszystkich szybów. Jeden pamiętam, że zniknął w odstępie roku ze szczytu góry. Chodziłem tam często na spacer z moim dziadkiem.

W końcu! Widzę moją polną drogę, prowadzącą do mojego domu. Mijam przy okazji dziką łąkę oraz las, z którego bardzo często wychodzą sarny, aby podjadać okoliczne trawy oraz kwiaty w ogrodach ludzi, którzy nie mają ogrodzenia. Mijam także dom moich dziadków. Światło się nie świeci, więc już śpią.

– Wiesz o co chodzi w zadaniu siódmym? – pyta mnie Wojciech.

O matko, jest późno, a on robi zadanie dopiero teraz? Odpiszę mu, żeby nie miał mi za złe, że nie odpowiedziałem.

– Musisz wykreślić ze zdania słowa, które są źle użyte i zastąpić je podanymi wyżej w innej formie.

– Ale tam nie ma żadnych podanych.

Jak to nie ma, przecież są widoczne od razu, gdy się spojrzy na zadanie! O, zaczął coś pisać...

– Przepraszam, patrzyłem na złą stronę.

– Ha, ha. Nic się nie stało.

Leżę w łóżku, powoli zasypiam, ale jeszcze rozmyślam. Dobrze jest mieć wokół taką okolicę, przyjaciół, rodzinę. Jestem szczęśliwy. Chyba nigdy nie wyprowadzę się z mojego miasta. Kocham tu być. I nagle sobie przypominam: Przecież zbliżają się święta!

Aleksandra Polak – Pamięć

Myślę, że prawie cała populacja ludzi celebrowe swój dzień narodzin. Większość, zapewne, nie organizuje wielkich przyjęć czy wystawnych bankietów. Najczęściej jest to miłe, rodzinne spotkanie z najbliższymi. W dniu urodzin dostaje się również prezenty. Nie są to, najprawdopodobniej, najnowsze modele BMW czy Mercedesa, bo to nie podarunek jest najważniejszy, lecz pamięć. Małe dzieci przynoszą koraliki zrobione z makaronu i jest to na swój sposób urocze, że próbują pokazać, jak bardzo im na nas zależy, że pamiętają.

Ja jednak nie obchodzę urodzin. Gdy mnie pytano dlaczego, nigdy nie udzielałam szczerzej odpowiedzi. Bo pomruki „nie liczę lat, bo i tak czuję się jak dziecko” najczęściej kończyły temat. Jednak gdy zapytała mnie nowo poznana koleżanka i chciałam jak najszybciej zakończyć temat, ona nie dawała za wygraną. Naciskała,

a gdy powiedziałam, by dała mi święty spokój, powiedziała, że najwyraźniej nie znam prawdziwego powodu, dlaczego nie obchodzę urodzin.

Niestety, minęła się z prawdą. Bardzo bym chciała zapomnieć przyczynę mojego smutku, chciałabym cofnąć czas. Często, prawie codziennie, widzę te smutne obrazy rozgrywające się w mojej głowie na nowo.

Dwudziesty ósmy listopada to moje urodziny. Rodzice jak co roku organizują małe przyjęcie na ten dzień. Jestem na tyle cicha, że mnie nie usłyszeli, gdy schodziłam ze schodów, dlatego kiedy byłam już w kuchni udawali, że wcale, ale to wcale nie rozmawiali o mojej osiemnastce. Przywitałam się z mamą, potem z tatą, a gdy tylko mój pies, Charles, mnie usłyszał zwał się z posłania i również przyszedł odebrać dzienną dawkę przytulasów i drapania pod brodą.

– O! Zosia już wstała. Wszystkiego najlepszego z okazji osiemnastych urodzin, kochana! – powiedziała moja młodsza siostra, Marcelina, wchodząc do domu z bukietem pięknych, białych róż. – To dla ciebie. – Podała mi kwiaty, przytuliła, cmoknęła w policzek i poszła ściągnąć mokrą od śniegu kurtkę, który padał od jakiegoś tygodnia.

Mama jest wspaniałą kucharką, a tego dnia zrobiła moje ulubione śniadanie – naleśniki z serem i dżemem. Po śniadaniu to nie ja musiałam wkładać rzeczy do zmywarki, zrobiła to Marcyśka. Rodzice zgrabnie mi zasugerowali, abym wyszła z domu, bo muszą przygotować dekoracje, proponując spacer z psem. Nie miałam dużo rzeczy do zrobienia. Wszystkie zadania odrobiłam, pouczyłam się na poniedziałkowe sprawdziany, zrobiłam wszystko, co mogłam, aby ten dzień był wyjątkowy. Spacer trwał około godziny, przeszłam przez krośnieński rynek, potem wzdłuż Lubatówki „wałami”, i kiedy wróciłam, zaspą przed naszym domem sięgała mi do połowy łydki. Wszłam do mieszkania i wtedy tata z moim kuzynem wystrzelili dwie tuby z konfetti w moją stronę. Cała rodzina zaśpiewała „Happy Birthday” i poczułam to jedno uczucie, które jest najważniejsze w dniu urodzin. Pamiętają.

Następnie mama oznajmiła, że musimy dojechać w jedno miejsce, bo clou programu jest właśnie tam. Szybko włożyłam moją sukienkę, pożegnałam się z Charlesem i wsiedliśmy do samochodu. Usiadłam na fotelu pasażera i czekałam na niespodziankę. Nie lubię uczucia niewiedzy, muszę mieć zawsze wszystko zaplanowane. Było to istną katogą, co gorsza mama nie chciała mi nic zdradzić.

Z ulicy Piotra Skargi, bo tam wtedy mieszkałam, wjechaliśmy w ul. Staszica, potem na rondzie Powstańców Warszawskich skręciliśmy na pierwszym zjeździe i na skrzyżowaniu ciężarówka, wypełniona płynami do dezynfekcji na bazie alkoholu, w nas wjechała.

W pierwszym momencie pojawił się szok i niedowierzanie. Po chwili dezorientacja i strach wywołany wybuchającą poduszką powietrzną. Szarpnięcie pasów. Preraźliwy ból w klatce piersiowej. Uderzenie głową o szybę. Usłyszałam krzyki przechodniów. „Ratujcie ich, ludzie, ratujcie!”. Ostatkami sił odwróciłam głowę w stronę Marciśki i zobaczyłam moją małą, bezbronną siostrzyczkę całą we krwi w nienaturalnej pozycji. Miała rozcięty prawy łuk brwiowy, przez kawałek, rozbitej w drobny mak, szyby. Miała zamknięte oczy, spuszczoną głowę i rękę z otwartym złamaniem. Wtedy trudno mi było ocenić czy oddycha, gdyż miała grubą kurtkę i szalik, który był cały pokryty krwią, a ja nie wiedziałam, skąd mogła ona wypływać. Następnie po otrząśnięciu się z pierwszego szoku zwróciłam głowę w stronę rodziców. Wiedziałam, że od strony kierowcy, taty będzie gorzej, bo właśnie tam było zderzenie. Tata leżał na kierownicy, cały pokryty odłamkami szkła. Mama zwisała z siedzenia z głową na szybie i z jej skroni małym strumykiem sączyła się krew. Gdy wydawało się, że gorzej być nie może, jeden z przechodniów rzucił niedopałek papierosa w kałużę wydostającą się z ciężarówki. Wybuch. Ogień. Fala gorącego powietrza i dym.

Zaczęłam się dusić. Przez wybitą przednią szybę wpadł jakiś drut, przeszył fotel, na którym wcześniej siedziała mama i wbił mi się w podbrzusze. Bolało niemiłosiernie. Jednak najbardziej zmartwił mnie fakt, iż tylko ja się duszę. Nie słyszałam odgłosów kasłania od mamy, taty czy Marcyśki. Zrobiło mi się bardzo słabo, a gdy traciłam przytomność, usłyszałam dźwięki karetki i wozu strażackiego. Pomyślałam, że jeszcze nie jest za późno, że nie chcę umierać.

„Gdzie jestem? Dlaczego wszystko jest białe? Moje uszy... Co to za dźwięki, okropne pikanie... Budziłam się kilkakrotnie, zanim się wybudziłam ze śpiączki farmakologicznej, tydzień po wypadku. Za każdym razem zadawałam sobie te same pytania, na które i tak nie otrzymałam odpowiedzi. 4 grudnia udało mi się jednak nie zasnąć po 2 minutach, lecz po godzinie. W tym czasie odwiedziła mnie przemiła pani doktor, której zawdzięczam życie. Nie przyszła z dobrymi wieściami. W kąciach moich oczu nagromadziły się łzy. Padły słowa, których chyba nikt w życiu usłyszeć nie chce. – Robiliśmy co w naszej mocy. Niestety, twoja siostra, twoja mama i twój tata, mimo naszych starań, nie żyją – powiedziała spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Złapała mnie za rękę. – Gdybyś chciała porozmawiać z psychologiem, to daj nam znać, na każdego możesz liczyć, pamiętaj – nie jesteś sama.

„Nie, to nie jest prawda. To jakiś koszmar. Zaraz się obudzę i będzie wszystko pięknie. Na początku będą trudności, ale w końcu będzie dobrze” – myślałam. Rozglądnęłam się po moim dwuosobowym pokoju, drugie łóżko było puste. Jeśli ktoś z mojej rodziny przeżyłby wypadek, właśnie tam by leżał. „A więc jednak prawda”. Dostałam drgawek. Moje myśli trawiły wiadomość znacznie wolniej niż ciało. Płakałam, krzyczałam tak mocno, że pani pielęgniarka musiała mi dać zastrzyk z hydrokoryzyny na uspokojenie. Moje spazmy ustały dopiero po półgodzinie i usnęłam.

Rehabilitacja trwała kilka miesięcy, jednak z powikłaniami borykam się do teraz. Nie wiem, jak i czemu, ale od wypadku mam cukrzycę i jest to wielkie utrudnienie. Pół roku po śmierci rodziców odbyła się rozprawa, której wynikiem jest skazanie prowadzącego ciężarówkę na 5 lat pozbawienia wolności za nieumyślne spowodowanie śmierci i grzywna w wysokości 15 tysięcy złotych. Nic już nie zwróci mi rodziców czy Marcyśki. Przez 6 miesięcy nie wychodziłam nigdzie poza wyjściami na kontrolę do szpitala przy ulicy Korczyńskiej i do „Rehabilitanta” na wizyty. Odciełam się od znajomych, rodziny, przeszłam na naukę domową. Byłam ja i Charles, choć i on był mniej energiczny, skoczny i, jakkolwiek by to nie zabrzmiało, żywy. Nie byłam na pogrzebie, bo mój stan zdrowia nie pozwalał na wyjście z szpitalnego łóżka chociażby do łazienki. Bardzo to przeżyłam. Wewnętrznie. Skończyłam szkołę i zdałam maturę. Sprzedałam dom i kupiłam nowe mieszkanie przy ul. Bieszczadzkiej.

Staralam się ułożyć życie na nowo.

Teraz, kiedy siedzę od dwóch godzin, na ławce na cmentarzu i rozmyślam nad tym, co powiedzieć rodzicom i Marcelinie. Zwyczajowe „Cześć, mamó! Cześć, tato! Hej, Marcyśiu!” wydaje mi się zbyt łatwe. Dziś jest dziesiąta rocznica śmierci moich bliskich. Wokoło mnie, na pobliskich grobach, palą się znicze. W innych okolicznościach można by było powiedzieć, że jest romantycznie. Dziś się odzywać nie będę, wszystko co istotnie przekażę im w myślach. Otóż dziesięć lat temu nic nie wskazywało na to, że tak się to wszystko skończy. Być może gdyby ten kierowca miał opony zimowe, byłoby inaczej. Ale nie lubię gdybać. Dziś jestem innym człowiekiem niż wtedy. Jestem starsza i o wiele więcej wiem.

Wspomnienia, przeżyte wydarzenia to coś, co nas kształtuje, coś na czym opieramy nas, nasze życie. Moje osiemnaste urodziny wpłynęły na moją przyszłość. 28.11 już nie kojarzy mi się z przyjemnością, lecz z bólem, wyrwą w sercu, której nie zapełni nikt inny. Teraz, kiedy się od wszystkich odciełam, nikt już nie pamięta, kiedy

mam urodziny. Od tamtego czasu wybudowałam mur, który dzieli mnie od moich starych znajomych czy rodziny. Z bólem uświadamiam sobie, że nikt nie robi mi pysznych naleśników na śniadanie, nikt nie załaduje za mnie zmywarki. Moje urodziny kojarzą mi się z żałobą, dlatego ich nie obchodzę, wydaje mi się, że to w jakiś sposób okazanie szacunku, pamięci. Jednak nawet nie miałabym z kim celebrować moich urodzin, gdyż nikt nie wie kiedy je mam, nikt nie pamięta.

Otóż podzieliłam się moją historią, którą skrywam w sobie od 10 lat. Postanowiłam, że od dziś, gdy ktoś się mnie zapyta, dlaczego nie obchodzę urodzin – odpowiem szczerze.

Powiem prawdę, aby ktoś mógł pamiętać.

Jakub Szul – (Nie)szczęścia chodzą parami

*„Jak ktoś ma pecha ...
To i w bananie pestkę znajdzie ”.*

Robert Górski

Od kiedy sięgam pamięcią, prześladowuje mnie niesamowity pech lub, jak kto woli, zezowate szczęście. Nie dzieje się to regularnie, nie co dzień, nie co tydzień czy miesiąc, ale co jakiś czas. A jak się już zdarzy, to z przysłowiowym przytupem. Mówi się, że pech to też szczęście tylko w nieco innej szacie. Ile w tym prawdy? Tak jak w każdej legendzie – ziarenko. Przynajmniej według mnie. Ale faktem jest to, że jestem dumnym posiadaczem zarówno pecha, jak i szczęścia. Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Jest to pewne jak to, że woda jest mokra, lód zimny, jak to, że po burzy zawsze przychodzi spokój. Jest to pewne jak amen w pacierzu!

Taki wyjątkowo niefartowny dzień miał miejsce pewnego pięknego i wyjątkowo ciepłego czerwcowego popołudnia. Było to tuż przed końcem roku szkolnego, a przed rozpoczęciem długo upragnionych wakacji. Słońce świeciło wysoko na nieboskłonie, zaś samo niebo było lazurowe, czyściutkie, bez ani jednej chmurki. Wiał lekki ożywczy wiaterek, taki delikatny zefirek, przyjemnie orzeźwiający i schładzający gorące powietrze. Było dosłownie bajkowo. Co feralnego mogło się zdarzyć w TAKI dzień? A jednak. Posłuchajcie.

Dzień ten zaczął się zupełnie normalnie i nic, ale to zupełnie nic nie zapowiadało nadciągającej katastrofy w postaci lawiny niefortunnych zdarzeń. Najpierw obowiązki, czyli szkoła, potem powrót do domu, odrabianie zadania domowego i wreszcie przyjemności, czyli czas wolny, odrobina wolności i swobody – tak przedstawiał się harmonogram dnia. Jak wspomniałem, było ciepło i ślicznie, więc razem z siostrą zdecydowaliśmy się pojeździć na rowerach po zakątkach naszego pięknego Miasta Szkła – Krosna. Czy wiecie, że lokację Krosna datuje się na rok 1348? Wówczas na tronie Polski zasiadał król Kazimierz Wielki. Ten sam, którego wizerunek widnieje na banknocie o nominale 50 złotych! To właśnie za jego sprawą w roku 1367 nasze miasto zyskało tytuł Królewskiego Wolnego Miasta i herb, przedstawiający pół lwa i pół orła na czerwonym tle. A czy wiecie, że sama nazwa miasta „Krosno” pochodzi od krosna tkackiego? Chociaż niektórzy twierdzą, iż w rzeczywistości nasze miasto swą nazwę zawdzięcza słowu „krosta”, które oznacza nierówność terenu, bowiem pierwszą osadę założono na wzniesieniu, czyli nie da się ukryć, że na nierówności.

Jak już wspomniałem, pogoda owego popołudnia była jak rybie oko, toteż grzechem byłoby zostanie w domu podczas takiej aury. Zresztą musicie wiedzieć, że jesteśmy, czyli moja siostra Zosia i ja, zażyłymi i wyznawcami zasady: „W zdrowym ciele zdrowy duch” i uwielbiamy spędzać czas na świeżym powietrzu. Najpierw, oczywiście, zapytaliśmy naszą kochaną rodzicielkę o zgodę.

– Mamusiu, czy możemy pojechać na małą przejażdżkę po mieście? – zapytałem.

Musicie wiedzieć, że mieszkamy na Pętelkowie, czyli dobrze znanym osiedlu Traugutta, potocznie zwanym „Guzikówką”. Wyprawa na miasto rowerami zajmuje zatem trochę czasu.

– Naturalnie – odrzekła mama, po czym dodała: – Tylko uważajcie na siebie i bądźcie z powrotem przed kolacją, dobrze? Kubusiu, opiekuj się Zosią – jeszcze na odchodne poprosiła mama.

– Pewka, mamó! Luzik! Nie martw się! Będziemy za około półtorej godziny, no w porwach do dwóch – rzuciłem na pożegnanie.

– Bawcie się dobrze, Słoneczka – powiedziała mama.

– Nie omieszkamy, mamusiu – odpowiedzieliśmy z Zosią niemal równocześnie.

Szalenie podekscytowani i żądni wrażeń wyruszyliśmy na naszą rekreacyjną eskapadę rowerową. Naszym celem był, rzecz jasna, niezwykle uroczy Rynek Starego Miasta, który niegdyś służył do celów handlowych. Mieszczą się tam prawdziwe perełki architektury – kamienice, które wręcz ubóstwiamy oglądać. Najpiękniejsza, a zarazem najstarsza z nich to Kamienica Wójtowska, która zachwyca wspaniałym, renesansowym portalem i cudownymi wręcz zdobieniami. Powiem wam, że jest ona najstarszą mieszczańską kamienicą w całym województwie podkarpackim. Serio! Nie ściemnam! Nieopodal niej znajduje się kolejna, zwana „kamienicą pod zegarem”. Nie bez kozery, gdyż istotnie na jej gmachu ulokowany jest zegar i to nie byle jaki! Pochodzi on z nieistniejącej już Pierwszej Krajowej Fabryki Zegarów Wieżowych, należącej do Michała Mięśowicza. Kamienica ta była kiedyś siedzibą ratusza miasta. Pamiętam, jak mój dziadzio Ludwik, z dziada pradziada rodowity krośnianin, opowiadał mi o Mięśowiczu – niezwykle człowieku i rewelacyjnym zegarmistrzu, który dokonał czegoś, co wydawało się niemożliwe na ówczesne czasy, czegoś, co nie mieściło się nikomu w głowach. W swej fabryce stworzył niemal 300 chronometrów wieżowych, które z dumą zdołały nie tylko miasta w Polsce, ale i całej Europie.

Dacie wiarę? Co więcej, w 1908 roku zegar wieżowy, który stworzył, został doceniony i nagrodzony medalem Międzynarodowej Wystawy Przemysłowej w Paryżu. W tamtych czasach jego czasomierze były wręcz osobliwe i znane z doskonałej punktualności. Mało tego, wiele z nich działa do dnia dzisiejszego! Tak, to prawda. Nie żartuję! Wiem o trzech takich zegarach. Dwa z nich znajdują się w Krośnie: jeden na Wieży Farnej Kościoła Farnego, czyli Bazyliki Kolegiackiej pod wezwaniem Świętej Trójcy, drugi umiejscowiony jest w dawnym gmachu Urzędu Miasta, zaś trzeci odmierza czas w Domu pod Globusem w Krakowie. W budynku fabryki, gdzie swe cudeńka tworzył Mięśowicz, dziś mieści się Muzeum Rzemiosła, które powstało w 1990 roku.

Kolejna kamienica, na którą lubimy patrzeć, to ta, która należała do jednego z najważniejszych i najbogatszych mieszczan i kupców w Krośnie, z pochodzenia Szkota – Roberta Wojciecha Portiusa. Był on faktorem i serwitem królewskim, jednym z najznamienitszych ówczesnych patrycjuszów krośnieńskich, komendantem miasta, dzierżawcą wsi Szczepańcowa oraz folwarku w Suchodole. Z jego czasów zachował się zabytkowy, kamienny portal arkadowy, a w kluczu portalu widoczna jest data – rok 1640 oraz inicjały samego Roberta Portiusa i jego żony Anny z Hesnerów. Ta zjawiskowa kamienica mieści się przy ulicy Rynek 27, a ów znamienity kupiec sfinansował wiele zabytków w naszym mieście, między innymi był pomysłodawcą i fundatorem przebudowy kościoła farnego oraz dzwonnicy, znajdującej się tuż przy nim. Umierając, Portius był jednym z najbogatszych ludzi w całej Rzeczypospolitej. Niesamowite, prawda? W Krośnie ma on swoją ulicę, a także pomnik, który znajduje się na placu, przy ulicy Piłsudskiego, nieopodal wspomnianego przeze mnie wcześniej kościoła, potocznie zwanego Farą.

Gdy jesteśmy na Rynku, naszą uwagę zawsze przykuwają arkadowe podcienia, które łudząco przypominają krakowskie Sukiennice i niewątpliwie dodają uroku temu miejscu. No właśnie, nasze Krosno jest niczym „Mały Kraków” i przez niektórych tak jest nazywane. Oczywiście, krośnieńskie podcienia służyły do celów handlowych.

Niektóre z nich pochodzą z czasów, gdy nasz drewniany gród przechodził metamorfozę przeobrażania się w murowany, czyli z XVI wieku. Nieprawdopodobne! Wśród nich są także reprodukcje z XIX i XX wieku. Według mnie wyglądają one niczym słynna stacja King's Cross i peron 9¾ znane mi z sagi o nastoletnim czarodzieju Harrym Potterze. Wystarczy stanąć pomiędzy nimi, zamknąć oczy i przenieść się choć na chwilę w magiczny świat czarodziei. Koniecznie spróbujcie!

Droga od naszego domku do okolic Starego Miasta zajęła nam kilkanaście minut, gdyż narzuciliśmy sobie mordercze tempo. Mieliśmy też niebywale szczęście, bo ruch na ulicach nie był zbyt duży. Gdy zbliżaliśmy się do znanej cukierni SANTOS, założonej w 1974 roku przez Józefa Bargiełę, od razu zamarzyłem o lodach – takich pysznych, bez sztucznych barwników czy konserwantów. Natychmiast zagadnąłem do mojej siostry.

– Co powiesz na gałeczkę lodów dla ochłody? – zapytałem Zosię i puściłem do niej oko.

– O tak! Z przyjemnością! – odparła, a na jej buzi ukazał się uśmiech wielkości banana.

– No to sprawdzamy kieszenie, czy będzie nas na nie stać – zakomenderowałem.

Po skrupulatnym przeszukaniu garderoby okazało się, że mogliśmy pozwolić sobie na zakup dwóch gałek lodów na łebka. Nie mogliśmy się jednak zdecydować, jakie smaki wybrać, dlatego w drodze losowania padło na banana ze słonym karmelem oraz limonkę z pietruszką. Z lodowymi zdobyczami w rękach czym prędzej udaliśmy się pod pomnik potentata imperium ropy naftowej – Ignacego Łukasiewicza, by w jego towarzystwie przeżyć podróż do krainy wyjątkowych rozkoszy dla podniebienia. Musicie wiedzieć, iż Łukasiewicz wspólnie z Tytusem Trzeciejskim i Karolem Klobassą-Zrenckim w leżącej nieopodal Krosna Bóbrce założył pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej. Były to tak zwane czasy Galicji, a nasze miasto, zarówno jak i jego okolice wręcz pachniały tym lepkiem czarnym złotem, przyciągając niczym magnes ludzi, w tym także z innych krajów, którzy chcieli zbić majątki i dorobić się bajecznej fortuny. Ale odbiegłem nieco od tematu znakomitych lodów. Cóż za nieprawdopodobnie genialne, wręcz boskie połączenie dwóch wyrazistych smaków – słonego i słodkiego. Nie do podrobienia. Siedząc przy cokole pomnika słynnego odkrywcy ropy naftowej, rozkoszując się ciepłym i promieniami słońca i delektując przepyszными lodami, nagle poczułem przyszywający ból, który spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba. Był on potworny, okropny, wręcz nie do odpisania!

– Auć! Aua! Au! – mimowolnie wykrzyknąłem.

– Co się stało? – spytała troskliwie moja siostra.

– Ugryzłem się w język... i to przez pestkę?! – wyjaśniłem.

– Jak to? – zapytała zdumiona Zosia. – Jaką pestkę? W bananie?! Przecież to niemożliwe!

– A jednak! W moim lodzie była pestka! Najprawdziwsza pestka! Przysięgam! Przecież nie wygłupiałbym się – odparłem targany cierpieniem.

Gdy ta okropna boleść minęła, a po smakowitych lodach nie było już nawet najmniejszego śladu, kontynuowaliśmy naszą wyprawę. Do Rynku mieliśmy przysłowiowy „rzut beretem”, zatem dotarcie tam zajęło nam dosłownie minutę lub dwie. Przysiedliśmy na drewnianej ławeczce tuż przy studni oraz makiecie dumnie prezentującej nasze miasto Krosno. Czy wiecie, że waży ona tyle sarno co niedźwiedź polarny, czyli 800 kilogramów? Imponujące, nieprawdaż? Można na niej zobaczyć obiekty, które kiedyś istniały oraz te, które istnieją obecnie, czyli stanowi ona swoistego rodzaju rekonstrukcję budowli naszego grodu na przestrzeni wieków – doskonała lekcja historii, prawda?

Siedzieliśmy na ławeczce, wpatrując się w wesoło tryskającą wodę z Fontanny Papieskiej, uruchomionej po raz pierwszy 19 kwietnia 2015 roku. W tym dniu w stolicy papieskiej wybrano nowego papieża. Został nim niemiecki kardynał Joseph Ratzinger, przybierając imię Benedykt XVI. Być może stąd przyjęła się akurat

taka nazwa, choć nie jest ona oficjalna. Fontannę zlokalizowano centralnie nad studnią kamienną z XIX wieku, którą odkryto u schyłku lat 90. minionego stulecia. Mama mówiła mi, że kiedy miałem 4 lata, a było to w 2014 roku, znany prezenter telewizyjny Jarosław Kret prowadził z tego miejsca program na żywo w TVP INFO, a to wydarzenie jest niezbitym dowodem, że nasza studnia jest sławna, przynajmniej została pokazana w telewizji. Nagle, zupełnie mimochodem, zerknąłem na mój niezawodny rower i zauważyłem, że w tylnym kole jest jakby mniej powietrza aniżeli w przednim.

– O nie! – wyrwało się z mojej piersi. – Chyba złapałem kaptur – rzuciłem rozczarowany.

– E tam – odrzekła Zosia – Sprawdź najpierw. Może tylko ci się tak wydaje.

Z duszą na ramieniu, ale prężnym krokiem podszedłem do mojego niezawodnego Rometa, po czym wnikliwie przyjrzałem się jego tylnej oponie. Niestety, miałem rację! Powietrze zeszło już niemal do krytycznego poziomu, zaś tuż przy wentylu znajdował się winowajca – sporych rozmiarów gwóźdź. Niemal natychmiast pomarkotniałem. „Co za pech” – przemknęło mi przez myśl, a na mej twarzy pojawił się grymas.

– O rany! – westchnąłem zafrasowany. – Najechałem na gwóźdź! – wyjaśniłem rzeczowo.

Zosia podeszła bliżej do mnie i spojrzała na rower. Jej mina była niezwykle wymowna. Z pewnością była zatroskana, a jednocześnie widać było, iż bardzo mi współczuła.

– I co teraz? – zapytała niemal szeptem.

– Chyba nie mamy wyjścia. Musimy wracać do domu. Będę prowadzić rower – odrzekłem całkowicie przybity. – Nie ma innej opcji – kontynuowałem. – Ale wcześniej zrobimy pewien eksperyment – dodałem enigmatycznie.

– O, a jaki? – dociekała moja siostra z błyszczącymi z ciekawości oczyma.

– Zobaczysz. Podejdźmy do fontanny – zaproponowałem.

– Chcesz się popluskać? Sprawdzić, ile jest wody w fontannie? – zapytała zadziornie.

– Ha ha ha. No chodź – poganiałem ją. – Zaraz się przekonasz.

Podeszliśmy więc żwawo do wodotrysku, który kształtem w pewnym sensie przypomina skrzynię. Ustawiliśmy się dokładnie na narożu skierowanym na stronę ulicy Piłsudskiego, po czym sięgnąłem do jednej z licznych kieszeni moich wojskowych bojówek i wyciągnąłem jeden z moich największych skarbów, kompas odrobinę przypominający ten, którego właścicielem jest przezabawny, zwariowany kapitan Jack Sparrow, tytułowy bohater kapitalnej serii filmów o piratach z Karaibów.

– Po co ci kompas? – zapytała siostra.

– Widzisz, słyszałem, że gdy się stanie z kompasem właśnie w miejscu, w którym teraz się znajdujemy, to ma on wyznaczać północ. Chcę to sprawdzić – objaśniłem.

– No i? Faktycznie wskazuje? – chciała wiedzieć aż nazbyt niecierpliwa Zosia.

– Chwilunia. Odrobina cierpliwości. Daj mi spojrzeć – poprosiłem. – Tak! To prawda! Kompas istotnie wskazuje północ! No może nieidealnie, ale prawie – odrzekłem. – To teraz sprawdzimy pozostałe rogi, czy wskazują... – nie zdążyłem dokończyć, bo w zdanie weszła mi Zosia.

– Południe, wschód i zachód – wykrzyknęła rozemocjonowana, a jej policzki przybrały barwę wściekłego indyka.

– Brawo, siostrzyczko! – pochwaliłem ją.

– Jeśli tak jest, to fontanna może służyć jako róża wiatrów! – powiedziała z pełną ekscytacją.

– Dokładanie! Główka pracuje! Lekcje przyrody nie idą na marne – znowu ją pochwaliłem.

– Ale czad! – skomentowała. – Dasz mi kompas? Sprawdzę, czy nie robisz mnie w balona.

I wówczas wydarzyła się prawdziwa tragedia. W momencie, gdy chciałem podać Zosi busolę, ta jakimś dziwnym trafem wyslizgnęła się mi z ręki i wyładowała... Jak myślicie, gdzie? Oczywiście, w fontannie! Jednak grawitacja jest bezlitosna!

– O rany! – westchnąłem.

– Może nic mu nie jest – wyraziła nadzieję Zosia.

– Oby, bo mama rozerwie mnie na strzępy – rzekłem z obawą.

Na szczęście po dokładnym wytarciu busoli okazało się, że działa bez zarzutu. Ale fart! Gdy siostra dokładnie przetestowała teorię z różą wiatrów, a ta okazała się prawdziwa, udaliśmy się do domku. Droga powrotna zajęła nam ponad dwa razy więcej czasu, ale nic dziwnego, gdyż prowadzenie roweru znacznie nas spowalniało i, jak się okazało, do łatwych nie należało. W mojej głowie dodatkowo kotłowała się nurtująca myśl, a właściwie pytanie: „Co na to powie mama?”. Po pierwsze, byliśmy grubo spóźnieni, po drugie – dętka do wymiany lub w najlepszym razie do naprawy. Na bank trzeba będzie jechać do wulkanizatora. Już widziałem posępną, skwaszoną minę mojej rodzicielki i słyszałem jej legendarne pytania retoryczne: „A nie mówiłam, żebyś uważał? A

nie mówiłam, żebyś był ostrożniejszy?”. Oczywiście, miałem już dawno przygotowaną odpowiedź: „A mówiłaś, mamusi, mówiłaś”.

W drodze powrotnej zahaczyliśmy jeszcze o Krośnieńską Bibliotekę Publiczną, by zrobić mamie niespodziankę, a może i odrobinę udobruchać. Mieliliśmy genialny plan, aby wypożyczyć dla niej kolejną książkę Wojciecha Chmielarza z cyklu powieści kryminalnych, opowiadających o losach komisarza Jakuba Mortki, które nasza mama wręcz uwielbia czytać. A czy wiecie, że pan Chmielarz odwiedził naszą bibliotekę prawie dwa lata temu? Było to dokładnie 8 grudnia 2021 roku. Wiem to, gdyż miałem przyjemność być na tym spotkaniu autorskim prowadzonym przez niego. Bardzo sympatyczny gość.

Gdy byliśmy mniej więcej pół kilometra od celu, czyli naszego domu, spotkała nas kostyczna niespodzianka w postaci kasandrycznej nawałnicy. Dacie wiarę? Ni z gruszki, ni z pietruszki błękitne niebo zasnuły granatowe chmury, błysnęło i zagrzmiało parę razy, a następnie zaczęło lać jak z cebra. Od razu pomyślałem: „No tak, to moje nieodzowne zezowate szczęście znów dało znać o sobie”. Natychmiast przyspieszyliśmy kroku, na ile to było możliwe. Wkrótce byliśmy przed bramą wjazdową do naszej posesji. Zosia zadzwoniła domofonem i za kilka sekund z głośnika usłyszeliśmy głos mamy: „Słucham”.

– Mamusi, to my – pisnęła Zosia.

– No, wreszcie jesteście! Już otwieram! Wchodźcie szybciotko! – odparła mama.

Wyglądaliśmy niczym dwa zmokłe kurczaki, byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Przedstawialiśmy prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Od głów do stóp ociekaliśmy wodą, a co gorsza – zaczynało nam być zimno.

– O mój mocny Boże! – mama załamała ręce na nasz widok. I natychmiast dorzuciła:

– Idźcie się migiem przebrać, żeby nie zachorować – poradziła nam. – No już! Nie ma co zwlekać! Raz, raz – wykrzyknęła.

– Mamo, proszę, to dla ciebie – powiedziałem, wręczając jej, niestety, również nieco zamokniętą książkę zatytułowaną „Długa noc”.

– Skąd wiedzieliście, że akurat na nią polowałam? Miałam jutro podjechać do biblioteki. No proszę, moje Pyśki potrafią czytać w myślach – na twarzy mamy zagościł uśmiech wielkości dorodnego banana.

Żadne z nas nie skomentowało tego, co powiedziała mama, tylko na jednej nodze popędziliśmy na górę, by pozbyć się mokrych ubrań, wysuszyć i przebrać. Kiedy zeszliśmy na dół do kuchni, na stole czekały już na nas kubki z gorącą czekoladą oraz talerz pełen pysznych kanapek z serkiem z ziołami, szynką, cheddarem, zieloną sałatą oraz kiszonym ogórkiem. Zapach, który unosił się w kuchni, był wręcz obłądny. Dopóki go nie poczułem, nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem głodny, podobnie Zosia. Wymieniliśmy się znaczącymi spojrzeniami i natychmiast

rzuciliśmy się na kanapki, łapczywie popijając gorącą czekoladę pomiędzy kolejnymi kęsami. Zarówno czekolada, jak i kanapki smakowały wybornie. Mama siedziała przy stole razem z nami i, o dziwo, milczała, co nie było w jej naturze. Przyglądała się nam badawczo i leciutko uśmiechała. A ów uśmiech był niezwykle tajemniczy, niczym ten należący do chyba najbardziej rozpoznawalnej florentynki na świecie, czyli Mona Lisy, sportretowanej niegdyś przez mistrza Leonarda da Vinci. Kiedy ostatnia kanapka zniknęła z talerza, mama wreszcie się odezwała:

– To jak? Wycieczka się udała?

– I tak, i nie – odpowiedziałem nieco zagadkowo. Po czym wspólnie z siostrą zrelacjonowałem szczegółowo nasze przygody, nie pomijając żadnego detalu. Podczas opowieści na twarzy mamy raz gościła radość, a raz smutek, raz zadowolenie, a raz z troskanie. Gdy skończyłem, mama spojrzała zadziornie na mnie i rzekła:

– Wiesz co, Kuba, ty to jednak masz zezowate szczęście! – roześmiała się perliście.

Ba! Jakbym tego nie wiedział.

Małgorzata Belcik – Niby

To nie biografia współczesnego dwudziestoletniego influencera pokazuje honor i prawdziwe wartości, a historia zapisana na Wzgórzu 534.

To nie kolorowe kartki w modnym magazynie uczą moralności i odwagi, a łamiący serce list żołnierza do matki wyeksponowany w zabytkowym Muzeum Historycznym w Dukli.

To nie długie rozmowy w kolejce do osiedlowego spożywczaka skłaniają do refleksji i zadumy, a napicie się pośród szumu drzew lodowatej wody w Złotej Studziencie.

To nie kultowe i nietuzinkowe ubrania zapierają dech w piersiach, a krajobrazy naszej polskości widziane z wieży widokowej na Górze Cergowa.

To nie z ekranu najnowszego telefonu widać budzące się uczucia, a ze starej i przestarzałej ławki w Parku Pałacowym.

Tak...

Niby XXI wiek...

Niby wszystko poukładane...

Niby wiemy...

Niby potrafimy więcej i lepiej...

Niby przywykliśmy do szybkości, technologii i wynalazków...

Niby tylko zapomnieliśmy dostrzegać otaczający nas świat...

Małgorzata Belcik – Ta chwila...

Wczoraj kawa była za zimna i podana w niewłaściwy sposób.

Wczoraj pokłóciłam się, o szklankę do połowy pełną

Wczoraj było źle, a mogło być dobrze.

Wczoraj mi się nie udało, chociaż miało być pięknie.

Wczoraj przeszłam na czerwonym świetle, chociaż widziałam zielone.

Wczoraj się uderzyłam, ale nie zraniłam serca i żyję.

Wczoraj byłam w rozpacz, ale byli ze mną przyjaciele.

Wczoraj pobrudziłam ubranie, ale nie zniszczyłam go.

Wczoraj nie wybaczyłam, a przecież każdy ma prawo do błędu.

Wczoraj spóźniłam się na pociąg, ale zdążyłam na autobus.

Wczoraj padał deszcz, a tak bardzo chciałam słońce.

Dzisiaj poszłam na cmentarz.

Dzisiaj uzmysłowiłam sobie, że wciąż – w przeciwieństwie do setek – mam czas wszystko zmienić. Zrobić po nowemu, odnaleźć, nauczyć się inaczej, spróbować po raz kolejny, odpuścić, uśmiechnąć się, zawrócić, iść pieszo, uleczyć, zdobyć się na szczerość, zapomnieć, przemilczeć, kupić, odszukać, wybaczyć i żyć.

Małgorzata Belcik – Wczoraj

Wczoraj nauczyliśmy się być bierni.

Dzisiaj udajemy, że nie widzimy.

Jutro nie spojrzymy na własne oblicze.

Wczoraj rozpamiętywaliśmy.

Dzisiaj zapomnieliśmy.

Jutro historia zatoczy własne koło.

Wczoraj żarliwie obiecywaliśmy: Jemu. Jej. Im.

Dzisiaj ostentacyjnie szukamy powodów, usprawiedliwień i pretekstów.

Jutro bez zająknięcia okłamiemy samych siebie – wcale nieciężko wzdychając.

Wczoraj cierpliwie czekaliśmy: na znak, stabilizację , miłość , wolność , odwagę,
piękno ciszy

Pustelni św. Jana z Dukli, wzruszenie, bezpieczeństwo.

Dzisiaj uiekamy. Nie tylko myślami.

Jutro zorientujemy się, że to już przeszłość, do której nie będzie powrotu.

Małgorzata Belcik – Ten dzień w lutym...

Miała wrażenie, że z nieba zagrzmiało,

a anioły na chwilę pochowały się po kątach.

Bóg był zajęty drugą półkulą, a przeznaczenie pomyliło scenariusz.

Miała wrażenie, że Cergowska cichutko zapłakała, po czym zatrzęsała się
– z przerażenia

i bezsilności.

A może tak jak i my – czekała na cud i opamiętanie?

Miała wrażenie, że dzielące kilometry są niczym, pomimo że krajobraz za oknem znów pokazywał tę samą topolę, a zegar odliczał te same godziny.

Miała wrażenie (dzisiaj wie), że frajerskie, dziecinne, złudne i naiwne, iż to – nieczłowiek człowiekowi...

Jakub Ginter – Anioły

śpiewają białe anioły nad twoją głową
sypiąc złoty brokat na ramiona
śpij kochane dziecko śpij
jeszcze czas czas jest dla ciebie

sypie ktoś śnieg na białe pola
i złoty popiół ulepiwszy bałwany
przeznaczenie udeptało materię założyło
dachy i postręcało sople
wpadał diabeł na sankach do rzeki (wpadłem wcześniej)

śpiewają zimne anioły nad głową
sypiąc złoty piach na zimne stopy
śpij bachorze słuchaj kantyków
słodkich pieśni anielskich o słodkiej ludzkiej śmierci
jeszcze czas

Jeszcze czas
ostatnie ziarenko
udeptanego piasku
w złotej klepsydrze

Jakub Ginter – Relacja sprzed bramy

Pukanie do wrót rozległo się z rana,
A ranek był ciemny jak wrześnieowa noc.
A może to tylko goiła się rana
Lub stara żebraczka w koc stary ubrana
Walila pięściami i darła się w głos.

Choć łez rdzawych w brud,
Już skręca się knut –
Pukanie do wrót!
Pukanie do wrót!

My, goście weselni, w swych szatach pod murem.
Wyblakły już stroje, od wieków – pukanie.
Nie słyszeć weselnej muzyki, lecz chórem
Płacz i zgrzytanie...

Dmie wicher przez pole – za bramą na stepie
Śpiewają cyganie i pali się stos.
I może to pieśnią krzesali płomienie,
Śpiewali, by ktoś ich usłyszał na niebie?
Lecz kto? Głuchy ojciec? Czy diabeł? Czy los?

Wypijcie – pal sześć!
Noc prosi o pieśń –
Ty pieśni się nieś!
Ty pieśni się nieś!

I z jaką by pasją się struny nie rwały
Spod bramy, gdzie stoją taborem cyganie,
Wzlatują żałośnie i głuszą cymbały
Płacz i zgrzytanie...

Szczekają tu psy i skomlą wilczęta
Na wielką zasuwę u żelaznych bram,
A brama jak była, tak będzie zamknięta
I zdechną bez budy od mrozu szczenięta
Otwieraj! Dlaczego zwołałeś ich tam?

I wyją bez słów,
A diabli na łów –
Ci z dziecinnych snów,
Ze szczęśliwych snów.

To wilki poczuły zza bramy woń mięsa,
Gdzie zamiast świergotu – bezpańskie szczekanie,
A jednak nad wszystko przebija się z miejsca
Płacz i zgrzytanie...

I wleciał rząd dusz – wołali na ucztę...
Nie można już wrócić – zamknęliśmy dom.
Być może, królowi zgubiły się klucze,
Stół kazał zastawić i zgłodniałe dusze
Zaprosił, odwoła, a strawę da psom

Co dalej? Cóż, żal –
Zaproszę was sam
Przed bramę na bal!
Przed bramę na bal!

Bez końca się tułać czy kupić wytrychy?
Śpiewajmy, szczekajmy, aż świt nas zastanie!
A jeśli nie przyjdzie, niech wróci wrzaskliwy
Płacz. I zgrzytanie...

Jakub Ginter – Łóżko

materac mojego łóżka wgięty w połowie
ściana zimna nikt nie oparł o nią głowy
pościel zaśmierdziała się samotnością
i nogi nie miały powodów by się złamać

poduszka pod ciężarem stała się doliną
depresją na moich mapach jej puch
odpada łupież z włosów siwych duszą
nie starczyło keratyny by się naćpać i zapomnieć

powietrze za czyste i nie pachnie nikim
bezduszny tlen bez duszy po co się zaciągać
zbyt czysta krew i worek z kroplówką wciąż za mały
ciemno jak nigdy szkoda żarówki dla jednego

suche paprocie opadają z donic
niepodlane uderzają o siebie jak dzwony zygmontów
coś się stało umarło moje łóżo
od niewyspania się pod tobą od krótkiego pocałunku na jawie

księżyc w pełni i niepełny ja mierzymy się spojrzeniem
dwójką na dachu mielibyśmy przewagę
gdybyś zawołał aniele z nieba otworzyłbym poddasze
idźmy do swoich łóżek zasunmy poszewki z marzeniami

Jakub Ginter – Ta historia nie kończy się dobrze

Ta historia nie kończy się dobrze. A może
Nie kończy się wcale i jest jak morze,
Które śle w piasek fale i ku zboczom biegnie,
Przy każdym fal rozstrzale będąc widnokretem
Jest jednak, chciałbym wierzyć, na dnie oceanu
Złoty posąg wart ciągle mojego peanu

Ta historia nie kończy się dobrze. Gra tony,
Które równie dobrze możesz wydać też zapalką,
Podpalając nierówno zielone Winstony
(Gdy z każdym siarki ziarnkiem sensu krzyże blakną)
Zielona jest nadzieja. Lecz zielony też groszek –
Mały jak każda z kolei. Nie wierzę - nie proszę.

Ta historia się dobrze nie kończy. Co z tego?
Nie mordując pierwszego, nie zabijają piątego.
I mimo to jeszcze ostrzemy swe noże –
Co z tego? Wiatr rdzawy wciąż pola nam orze.
A ja determinuję przeznaczenie ostrzałki,
By ostrzyła jedynie do różanych gleb grabki.

Ta historia się dobrze nie kończy. A jednak
Zapomniał, biegnąc, diabeł dać kropkę po kropce
I jeszcze nie wrócił. A teraz ta biedna
Kropka wlecze się za nim jak metrum po piosnce.
Ryje beton, niedługo i czorta rozkruszy
I do morza się sturla, i falę poruszy...

Aleksandra Zych – pomnik

nie wiem, czy zapamiętasz
oddech i bicie serca
niebieskie pulsujące żyły

ostatkiem sił napiszę więc wiersz
malując pejzaż ciemnym atramentem
naszkicuję swój testament
i nic więcej nie zostanie
samotny liryk na żółtym papierze

może to wystarczy
odepchnie wątpliwości
rozpłyną się wahania
irracjonalny strach minie
aby zrobić wreszcie miejsce
rękopiśmiennemu dowodowi życia

Aleksandra Zych – melpomene

jesteś moją muzą
ale zdecydowanie wolałabym
żebyś był moim przyjacielem

wyzwalasz to, co najlepsze
w mojej poezji
ale nie we mnie

i tęsknię za tobą
i modlę się, żebyś przestał ranić
i przestajesz być kimś znajomym

i wciąż walczę z twoim cieniem
i tylko wtedy wypełniam kartki
bo szczęście nie pisze wierszy

Aleksandra Zych – iluzja pragnienia

wszystko, czego chciałam
to aż ty

zanurzony w blasku świec
zapachu letniego powietrza

jak gwiazda zaranna
przyćmiewająca inne gwiazdy

zagadka sfinksa
ale ze mnie żaden edyp

więc wciąż krwawię
lecz gram w otwarte karty

bo wszystko, czego chciałam
to tylko ty

Aleksandra Bryś – Te słowa

Kiedy przywiodło cię na ziemię krośnieńską, byłaś młodą osobą,
I tu przeznaczenie pisało Twoją historię życiową.
Sprzedawałaś na „zielonym rynku” swe plony
Wytchnieniem w południe były dobiegające od kapucynów dzwony

Dłonie łączyły się w jedną całość
I powierzałaś swoje troski patronowi Krosna
Z głową skierowaną ku górze, powtarzałaś:
„Mniej mnie w opiece święty biskupie Pelczarze”.

Mija już tyle miesięcy odkąd ciebie nie ma
Przyzwyczajenie się do tego tyle trwa i zmienia,
Pomimo iż wiedziałam, że już nigdy nie usłyszę od Ciebie żadnego słowa,
nie poczuję twojego objęcia i nie doradzę się – to i tak się łudziłam.

Co wieczór szłam do ciebie, by przed snem móc ci powiedzieć słowa,
Słowa których ludzie się boją, których boję się ja, odkąd już cię nie ma.
Zawsze chwytałaś mnie za rękę i szeptałaś, to co ja już wiedziałam,
Ale i tak co wieczór ich oczekiwałam.

Myślałam wtedy, że to niewiele, że to nic nie kosztuje,
Że są one jak każde inne, bez braku poświęceń
– Kocham cię? Ile ono znaczyło dla mnie wtedy a ile znaczy dzisiaj
Czy bardzo je lekceważyłam?

Od moich pierwszych dni życia zawsze przy mnie byłaś,
Dałaś mi więcej niż w zasadzie powinnaś.
Nie musiałaś, a chciałaś – wzięłaś na siebie ciężar który nieraz cię przytłaczał,
A i tak nie narzekałaś

Szłaś razem ze mną przez moje życie
Przez wszelkie zakręty, wzniesienia i upadki
Pomimo przeciwności podawałaś mi rękę i umacniałaś w duchu
Przez to ty sama pogrążałaś się w smutku

A ja szłam dalej, wyrządzając ci tyle przykrości
– słowa rzucone w twą stronę, te najgorsze
Te, które nie okazywały ci wdzięczności
Te, które cię bolały na tyle, że traciłaś swe poczucie wartości

Szczerze cię przepraszam za wszystkie wyrządzone przeze mnie przykrości
Wyrzuty sumienia, które są ze mną od chwili, kiedy cię straciłam,
gdy podczas twojej choroby nie miałam siły razem z tobą kroczyć
I cieszyć się z chwil, które zostały nam dane, aż do dnia kiedy zasnął już na
wieczność.

Długo zastanawiałam się dlaczego Bóg, po tylu twych dobrociach, zgotował nam taki
los.

Dlaczego mi cię zabrał? Dlaczego dał mi tyle bólu?
Dlaczego go nie powstrzymałam?
A może po prostu tego wiecznego spoczynku już potrzebowałaś.

Tak bardzo mi ciebie brakuje
Żadne słowa nie wyrażą bólu jaki czuję.
Codziennie zmierzając przez życie pragnę, by ci ę znów usłyszeć,
A przede wszystkim powiedzieć ci to że rozumiem już swój błąd.

Nic nie jest w stanie wyrazić mojej wdzięczności.
Dzięki tobie miałam i mogłam mieć wszystko.
Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wszystko oznacza tylko jedno,
Niby jedno, a tak wiele – czyli Ciebie.

Paulina Szelc – Prawda

Jesteśmy końcem,
żarliwi jak demony tańczące w świetle neonów.
Pomiotem szatana,
sztuką z krwi i kości.
Anarchicznymi dziećmi
pograżonymi w ogniu i cieniu przeszłości.
Buntownikami z paczką fajek i czarną zapalniczką.
Gorzką prawdą wylaną na rzeczywistość.
A gdy to wszystko zrozumieliśmy,
nic już nie było takie same,
a życie nie jest już tak bez troskie jak kiedyś.
Bo gdy prawda zostanie odkryta, burzy wszystko, co jest na jej drodze.
Bo kłamstwo może budować, ale także niszczyć.
A niszczy wtedy, gdy prawda wychodzi na jaw.
I wyszła... a jej realia były cholernie destrukcyjne i nie zostawiały żadnych złudzeń.
Zamykając powieki, mogliśmy zapomnieć o świecie,
który miał głównie za cel niszczenie tego, co zniszczone zostać powinno.
Ale dalej grzeszyliśmy, grzeszymy i grzeszni jesteśmy.
A grzesznicy na zawsze zostają potępieni.
Bo otworzyliśmy własne wrota najgorszego piekła tego świata.
Prawda była perfekcyjna, a perfekcja to kwestia sporna.

Paulina Szelc – Zło

Wmówiono nam, że zostaliśmy stworzeni przez Zło.
Zło, które chciało zesłać na ziemię chaos,
tworząc z ognia i lodu nas.
O zimnym sercu, które nie potrafi czuć.
Z ognistymi oczami, które nieraz doprowadzają innych do zguby.
O ustach, które wypowiedzą każdą okropną prawdę i słodkie kłamstwo.
Z twarzą pustą, która idealnie zagra każde emocje.
O lodowatych dłoniach, które mogą pograżyć wszystko za jednym dotknięciem.

Z czasem zauważyliśmy, że to my jesteśmy tym Złem, że sami stworzyliśmy coś,
co...
zapoczątkowało piekło na ziemi, które dla nas jest rajem.

Paulina Szelc – Piękna destrukcja?

Kochałaś czerwone wino, które zostawiło plamy na twojej niewinności.
Kochałaś tak jak zamknięty ptak wolność.
Kochałaś tak jak Werter.
Kochałaś tak jak człowiek w niewoli.
Kochałaś, by być kochaną.
Kochałaś, ale czy nie ty powtarzałaś, żeby kochać trzeba zniszczyć?
Czy nie ty mówiłaś, że być kochanym, to zostać zniszczonym?
To dlaczego teraz cierpisz?

Paulina Szelc – Zielone Wistony i czarna zapalniczka

Mamy w sobie demony, za które odpowiadamy.
Jesteśmy nastolatkami, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co robią.
Żyjemy spontanicznie, nie myśląc o konsekwencjach.
Nie żałujemy żadnej z chwil.
Jesteśmy puści, nienawidzimy uczuć, brzydzimy się ich.
Żyjemy tylko dla „byle do...”
Dławimy się wspomnieniami...
Wracamy do domu nad ranem, zakradając się do pokoju,
mając w kieszeni tylko zielone Winstony i czarną zapalniczkę.
A nasze grzechy widzi tylko księżyc.

Anna Surmacz – Przemyślenia

Czym jest nienawiść w świecie bez obiekcji?
W lesie pytań,
Gąszczu niepewności
Budzi się nurt
Pędzącego strumienia myśli

Czym jest nienawiść w świecie bez obiekcji?
Gdzie każde uczucie
Rozbija się
O kamienną ścianę
Bezwzględnej apatii

Czym jest miłość w świecie bez nienawiści?
Wyrwą w sercu
Zabudowaną
Nieprzeniknionym murem
Żalu, bólu i pretensji.

Anna Surmacz – Szukając siebie

Stoję przed lustrem.
Spogląda na mnie postać
Choć tak znajoma
To nadal obca

Poruszam się w takt
Melodii szumiącej w żyłach krwi,
Obracam w palcach
Wszechświat zmartwień

Jeszcze wczoraj przytłaczających
Dziś – nieznających już nic

Powoli jednoczę się
Z własnym obrazem,
Który codziennie
Odkrywam na nowo

Bo próbuję poznać siebie –
Taką jaką naprawdę jestem.

Dla H, dzięki której przeżyłam swoją śmierć już tysiące razy.

Oczy widzą niebo nasiąkające powoli światłem. Orzeźwiający przestrzenie wczesnego poranka są jak czyste płótno, które daje po sobie malować wszystkiemu i wszystkim. Niedługo powstanie na nim niepowtarzalny performance. Oczy otwierają się szerzej na widok tego żywego, rozciągniętego w czasie obrazu, tego boskiego tworu. Tych przestrzeni przewodzących światło, dźwięk i zapach. Tego fraktala, którego każdy, dowolnie mały fragment jest równym całości arcydziełem. Zaczyna się dzień. Oczy błyszczą, odbija się w nich mgliste światło poranka.

Oczy są w połowie otwarte. Nie ma sensu marnować energii na więcej. Nie otworzyły się, aby oglądać jutrzeźkę, ale skoro już zostały zmuszone do otworzenia się, oglądają. Już kiedyś widziały coś podobnego, błyszczały wtedy, odbijało się w nich mgliste światło poranka. Teraz odzyskują namiastkę tamtego błysku. W ich kącikach i na rzęsach inne oczy mogłyby dostrzec biały osad. Fraktal, boski twór, przestrzeń są zapewne równie zachwycające, jak kiedyś, ale teraz znajdują się za dwiema zasłonami. To nie ta ze szkła odbiera zachwyt, tylko ból. Mimo, że teraźniejszy błysk w oczach jest jedną setną dawnego, oczy chcą patrzeć na świat zza zasłon tak długo, aż nie będą miały innego wyjścia, niż oglądać codzienne okropieństwo, które przypało im w udziale. Słońce zaczyna wschodzić.

Oczy rozglądają się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłyby zatrzymać się na dłużej. Niedaleko okna stoi kosz na śmieci, z którego wysypują się dawno niewywożone odpady. Oczy nie są wybredne, uważnie pochłaniają ten widok. Kosz ma wklęsłą, metalową pokrywę, do której wczoraj napadała deszczowa woda. W wodzie topi się osa. Próbuje się uratować, ale tak naprawdę jest już martwa. Oczy nigdzie się nie spieszą, więc patrzą na osę, a ta po jakimś czasie przestaje machać odnóżami. Żyje jeszcze, ale opadła z sił, zresztą nawet, gdyby wciąż je miała, skończyłaby tak samo, jak skończy zaraz. Dryfuje w pokrywie śmietnika, czekając na śmierć. Oczy przestają patrzeć na osę, bo w jej życiu już nic się nie wydarzy.

Nawet resztką błysku znika, kiedy nadchodzi chwila, w której oczy muszą na powrót spojrzeć w anemiczną biel pomieszczenia. Widzą miskę z jakąś nieokreśloną jasną breją w środku, a obok łyżkę. Ręka powoli, bardzo powoli, nabiera łyżką odrobinę nieapetycznej brei i wkłada ją do ust. Forma dania nie miała tak naprawdę żadnego znaczenia, oczy tak samo nieprzychylnie patrzyłyby na każde jedzenie. Ręka odkłada breję gdzieś na bok i chwyta metalową miskę w kształcie nerki. Oczy widzą, jak czerwone wymiociny bryzgają do miski, rozpryskują się na ubranie. Powieki zakrywają oczy, przez chwilę chroniąc przed tym widokiem, ale zaraz potem odsłaniają go znów, bo oczy są przecież potrzebne, żeby widzieć, gdzie trafia śluzowata, niejednorodna mieszanina krwi i jakiegoś jedzenia. Kąt oka widzi ludzi pojawiających się koło łóżka, próbujących pomóc, ale realnie zupełnie nic niezmieniających. Oczy dopełniły swojego przeszywającego nieznośnego obowiązku widzenia wszystkiego, co trzeba widzieć, żeby wymiociny nie zaplamiły wszystkich ubrań i pościeli, i zamykają się.

Oczy znów patrzą za okno. Drzewa kołyszą się na silnym wietrze. Co jakiś czas przelatuje ptak, szare chmury ciężko toczą się po niebie. Ulubionym punktem oczu jest bez kwitnący na jasnofioletowo. Oczy kochają ten kolor, tak idealnie łączy się ze świeżozielonymi liśćmi. Bez kołysze się, każdy liść jest czymś osobnym, każdy porusza się po innym torze, ale jednak są wszystkie razem. Jak ławica ryb. Oczy są zapatrzone w ten bez, który trzęsie się i szarpie, który rozpalony zimnym wiatrem chybocze się i faluje. Nieopodal bzu rozciąga się ulica i chodnik. Oczy mimowolnie lądują na dwojgu ludziach, którzy idą chodnikiem, trzymają się za ręce, ocierają się o

siebie ramionami, nieświadomie wyrównują krok. Ich światy przenikają jeden w drugi, zmieniają się, przyspieszają, wzbijają w powietrze kolorowy pył, który długo nie opadnie. Oczy chcą chronić przed tym widokiem, który boleśnie prosto podsumowuje wszystko, co niemożliwe, i przesłaniają go grubym, mokrym płaszczem.

Mokry płaszcz spływa, kiedy trzymający się za rękę ludzie są już daleko. Chwila przerwy od patrzenia za okno. Oczy zwracają się w kierunku szafki obok łóżka. Widzą na niej wodę i kilka znajomych przedmiotów. *Fizykę* Jaya Oreara, którą rękę ambitnie tu przyniosły, ale ani razu nie otworzyły, gruby brulion i długopis, w którym zostało już niewiele tuszu. Każdą odrobinę tuszu rozsmarowaną przez długopis oczy widziały tylko raz. Być może inny wzrok będzie sunął kiedyś po tuszu, ale tusz nie doczeka się tych oczu, którym miał przypomnieć dawne czasy. Na stoliku leży jeszcze kartka w kratkę. Pierwsza linijka to jakieś równanie, a jego przekształcenia w następnych linijkach są poprzeplatane wersami wyrwanymi z piosenek. Na końcu są już same teksty rozrzucone po wszystkich miejscach na kartce, które dało się zapisać. Oczy przejeżdżają po koślawych, raniących literach: "All these things we'll one day swallow whole", "Fade out again", "I can't escape it", "I guess that's just fine", "Struck me like achord", "I'm a lonely boy", "I'm an ugly boy", "I'm never gonna make it 'till the end I guess", "I'm not there quite yet", "Sinking like a stone", "STRUCK ME LIKE ACHORD", "Lonely afterlife", "Lonely afterlife", "Lonely afterlife", "I've never promised you a rose garden"¹. Oczy śledzą ręce, gdy te wkładają kartkę do grubego brulionu.

Oczy widzą, jak drzwi się otwierają. Wchodzi przez nie kilka osób, siadają obok łóżka. Siedzą tak, a oczy za wszelką cenę blokują dopływ łez. Manewrują pomiędzy ludźmi, od czasu do czasu na nich patrzą, ale nigdy na twarze. Trwa to długo. Po jakimś czasie oswajają się i przestają tak nerwowo biegać po pomieszczeniu. Ściemnia się. Ludzie powoli wstają, zbierają się do wyjścia. Jeden z nich niespodziewanie podchodzi blisko i oczy patrzą, jak kładzie na dłoniach swoje dłonie. Pierwszy raz tego dnia oczy spotykają drugie oczy. Przez chwilę pozostają tak połączone, nie mogąc już wytrzymać udawania, błędzenia, uciekania. Szczerość okazuje się mniej bolesna i bardziej kojąca niż jej wyobrażenie, które kazało oczom uciekać. Oczy odprowadzają wolno oddalających się ludzi do wyjścia.

Jest już całkiem ciemno, ale oczy są otwarte. Widzą klatkę piersiową, która podnosi się i opada niepewnie, ostrożnie, płytko, niemiarkowo. Jedna ręka trzyma metalową nerkę, a druga mnie prześcieradło. Ściska je i ciągnie. Nogi na przemian zginają się i prostują, mocno trąc piętami o łóżko, uda uderzają o materac. Głowa odgina się lekko do góry i oczy patrzą na sufit. W końcu kierują się na przycisk, który ręka naciska. Po chwili oczy widzą, jak drzwi się rozsuwają, wchodzi przez nie kilka osób, rastrowe lampy mrugają dwa razy i zaczynają świecić. Prześcieradło jest pogniecione, materiał położony nierówno, cały pofałdowany. Oczy patrzą, jak na dnie metalowej miski pojawia się plama, potem druga, a potem całe dno pokrywa się pomarańczowoczerwonym grudkowatym płynem. Potem jakieś dwie ręce odsuwają od brody dwie miski przerywając dwie ciągnące się nitki śliny. Oczy się zamykają. Nagle w półśnie przychodzi ostatnie mocne wspomnienie, więc otwierają się jeszcze raz powoli i kierują w lewo, ale za oknem jest ciemność, a w szybie odbija się wewnątrz pomieszczenia. Widokiem, który zamknie oczy, nie będzie więc kwitnący bez. Przyćmiony wzrok natrafia na granat okładki *Fizyki* i rozlewa się.

¹ Teksty pochodzą z piosenek: Radiohead – *Street Spirits (Fade Out)*, The Strokes – *At the Door* i Lynn Anderson – *Rose Garden*

Czerwony, zielony, niebieski. Wszystkie poukładane starannie w tysiącach rzędów i kolumn. Zmieniają nieustannie swą jaskrawość i odcień, niczym liście w zależności od pory roku. Nie są jednak tylko po to, by następne pokolenia pochylały się nad ich autorytetem i rozkwitem. Z każdym dniem pełnią kolejne i kolejne godności, z wolna wypierając to co staromodne i uważane nagminnie za „przedawnione”. Wszystko właśnie za sprawą tychże poruszających się diod, które w nieopisany sposób tworzą nieskończenie wiele obrazów. Ktoś zapewne po samym opisie stwierdziłby, że to jakaś niewyjaśniona magia. Tak naprawdę jednak staje się ona codziennością.

– Stary, widziałeś co wrzuciła wczoraj Agnieszka? – zapytał z parszywym uśmiechem Piotrek, podsuwając przed oczy Adama telefon. – Chyba nie sądzi, że dobrze wygląda w tej sukience?

– A myślałam, że od czasów tej pomarańczowej szmatki gorzej być nie może – rzuciła Iza, która nie mogła powstrzymać się od wykorzystania okazji do „skomplementowania” czyjegoś wyglądu.

– Bez kitu. Strasznie to wygląda – dołączył się finalnie Adam po przyjrzeniu się pikselom na telefonie Adama. – A ty, Michał, co ty tak siedzisz i milczysz?

Chłopiec o prostych, czarnych włosach był wpatrzony w swój telefon. Dopiero gdy jego uszy wyłapały imię, Michał wzdrygnął się, ale nawet nie oderwał oczu od urządzenia.

– Powtarzam te wiersze z poprzedniej lekcji. Jeżeli walnie kartkówkę to już po mnie. Ledwo mi dwójka wychodzi.

– Było uważać na lekcji – wydukał Piotrek z przekąsem.

– Mówisz, jakbyś ty sam uważał – odparł Michał podnosząc ironicznie oczy.

Pomiędzy chłopcami wywołała się drobna, przyjacielska sprzeczka, która zakończyła się szybko i bez zgrzytów. Równie prędko wywiązał się następny temat i następny. Wszystkie inicjowały pojawiające się na ekranie obrazki.

Był to modelowy poniedziałek, pierwsza lekcja. Większość tych uczniów, która miała się zjawić w szkole, już zajęła swoje miejsca w ławkach. Wszyscy byli zmęczeni i zaspani, lecz mało kto mógł się powstrzymać od ciągnących się dyskursów. Tylko nieliczni siedzieli w milczeniu.

Ciężko zatem było się dziwić, że nikt nie zauważył wchodzącej do klasy pani profesor. Ta zatrzymała się w drzwiach na kilka sekund, spojrzała na twarze swych podopiecznych. Niełatwo jest jednak odwzajemnić spojrzenie nie odwracając wzroku od telefonu. Pozostało więc jej jedynie wziąć głęboki wdech, po czym zasiąść za biurkiem.

Pani profesor sięgnęła do swojej torby, w której miała mały podarunek dla uczniów: trzydzieści kartek z kilkunastoma pytaniami każda. Lecz gdy już miała ogłosić swoją niespodziankę, zamknęła torbę i tą samą dłoń, którą sięgała po kartkówki, zaczęła wycierać sobie oczy, wyraźnie dumając. Nastąpiło milczenie. Wszyscy wyprostowali się w obawie, że otrzymają uwagi za rzekome nieuważanie na lekcji. Wciąż jednak można było usłyszeć głucho, oddalone szepty.

– Moi drodzy – zaczęła po chwili Pani profesor – jako że zbliża się koniec roku wykonacie na piątek projekt.

Klasa zareagowała wybuchem radości. W końcu projekt, w porównaniu z kartkówką czy sprawdzianem, jest błahostką, czymś do zrobienia w chwilę. A co najważniejsze, odsuwa stres.

– Temat projektu będzie „Rola literatury i jej zalety”. Prace przygotowujecie w dwójkach – zaczęła Pani profesor, a gdy tylko spostrzegła pierwsze rozmowy między uczniami, dodała – w które ja was dobiore.

Gdy otwierała dziennik, w całej klasie dało się słyszeć głosy rozżalenia. Następnie zaś nastał stres przed maszyną losującą w postaci paniusi w szpilkach. Tak też wreszcie zaczęła działać i wymieniać kolejne dwójki.

– Adam z Maćkiem, Wiktoria z Aleksandrą... – mówiła i mówiła, aż doszła do samego, szarego końca – i Michał z Oskarem.

Chłopiec z ostatniej ławki momentalnie się przebudził. Ciężko poznać, czy było to przez to, że usłyszał to zestawienie, czy przez zwarte, stłumione chichoty znajomych obok.

– Trafiłeś w dziesiątkę, nie powiem – szydził z Michała Piotrek.

– Dlaczego akurat ja? To niesprawiedliwe...

Oskar był chłopcem siedzącym w pierwszej ławce. Prawie z nikim nie rozmawiał, był samotnikiem. Wyróżniał się również wyglądem. W końcu nieczęsto spotyka się chłopców z głową zupełnie pozbawioną włosów.

– To dziwak – cisnął Adam.

– I odludek – dorzucił Piotrek.

– Nie ma ani insta, ani snapa... nawet fejsa – zauważyła Iza.

– Gadaliście z nim kiedykolwiek? – dopytywał się Michał w nadziei na pozyskanie choć podstawowych informacji o tym jegomościu. Wstępną opinię już usłyszał.

Zapytani spojrzeli po sobie i razem pokręcili przecząco głowami. W końcu jak niby mieli z nim rozmawiać?

Ruszył przed siebie jak na ścięcie. Gdy tylko pierwsza lekcja dobiegła końca, domniemana gilotyna siedziała spokojnie na ławce przed klasą.

– Hej, to jak, robimy ten projekt? – zapytał Oskar z entuzjazmem.

– No robimy... robimy...

– Gdzie się spotykamy?

– Cóż... możemy u ciebie? Po ostatnim mam szlaban na przyprowadzanie kogokolwiek do domu.

– Nie ma sprawy. To co, u mnie po szkole?

– Jasne – wydusił Michał, a gdy zauważył, że Oskar chce coś powiedzieć, prędko stłumił jego zapal. – Sorki, muszę lecieć. Zadanie z matmy, wiesz...

Tak korzystając z okazji, zniknął za rogiem.

– Prawie jestem – wystukał kciukami Michał. – Ciekawe jak mieszka?

– Trzeba było ze sobą wziąć krzesło albo łatarkę – pojawiła się wiadomość od Piotrka.

Jedyną reakcją na tę wiadomość była śmiejąca się wesoło emotka.

Dom wskazany w wiadomości telefonicznej przez Oskara okazał się być czymś, czego Michał nie mógł sobie wyobrazić. Pokażna, dwupiętrowa rezydencja, wyglądająca jak pałac, otoczona pięknym ogrodem z kwitnącymi różami i liliami. Zaskoczony podszedł do drzwi i zadzwonił. Po niespełna piętnastu sekundach uchyliła się brama. A w drzwiach wejściowych stanął Oskar z uśmiechem od ucha do ucha.

– Hej! Zapraszam. Napijesz się czegoś? Może coś chciałbyś zjeść? – zapytał grzecznie gospodarz, gdy gość ściągał obuwie.

– N... Nie, dziękuję – odparł Michał w ciągłym oszołomieniu.

– Jakbyś czegoś potrzebował, to nie krępuj się. No, idziemy do mnie?

– Jasne. Prowadź.

Wnętrze domu prezentowało się wspaniale. Wyposażenie zapierało dech w piersiach. Wszystko było uporządkowane, czyste, wręcz sterylne. Wreszcie, po pokonaniu długich schodów i korytarza, Oskar popchnął jedno z drzwi i wszedł do środka. Pokój, w którym się znaleźli wyglądał cudnie. Wielkością bardziej przypominał salon. Właściwie, gdyby nie masywne łóżko bez wątpienia by się nadał. W pokoju znajdowała się także ogromna szafa, biurko z nowym komputerem i półki... Cała masa półek z książkami. Jedna ze ścian wyglądała niczym wyrwana z biblioteki. Części tytułów książek, które Michał zauważył, nie mógł nawet wymówić.

– To co, zabieramy się do pracy? – zapytał z uśmiechem Oskar.

– Musisz wiedzieć – zaczął Michał, gdy tylko odnalazł się w tym wnętrzu – że nie mam nic wspólnego z literaturą, książkami ani niczym takim.
– Naprawdę? Nigdy nie rozczytywałeś się w książkach?
– Zdarza mi się przeczytać jakąś lekturę szkolną lub jej streszczenie, gdy potrzebuję lepszej oceny. Ale na tym to się kończy.
– Ciekawe... no, ale do tego projektu nie potrzebujesz żadnej wiedzy z literatury. Wystarczy rzeńska głowa i wyobraźnia.

– Czyli co mam zrobić?

– Po prostu zastanówmy się, dlaczego ludzie mogą garnąć się do książek. Zgromadźmy nasze pomysły i wszystko zapiszemy. Ileż można dać tu wyśmienitych przykładów!

Michał przymrużył oczy i zaczął je przecierać, jakby miało to pomóc w rozmyśleniach. Gdy to nic nie dało, ulokował się na jednym z krzeseł i patrzył tępo przed siebie. Co miał w głowie? Ciężko stwierdzić, lecz nawet nie próbował zbliżyć się do odpowiedzi na temat projektu.

– Nie wiem... po prostu nie wiem. Co mi z tej nedorzecznnej pracy. Mam naprawdę wiele ciekawszych rzeczy do zrobienia niż „zachwycanie się literaturą”. Jakby mi to jeszcze miało pomóc w życiu – wydusił wreszcie Michał – I jeszcze ta wyobraźnia. Wielkie mi halo...

Oskar wsłuchiwał się w te słowa z czujnością. Wielu, którzy usłyszeliby takie oskarżenia, przyjąłoby to jako obrazę majestatu, powód do zebrania powietrza i wykrzyczenia tego co myśli się o takiej osobie. Byłoby to zrozumiałe, prosty mechanizm obronny: na atak odpowiadasz atakiem.

Chłopiec jednak ani na moment nie pozbył się lekkiego uśmiechu i nie raczył się spieszyć. Słuchał z zainteresowaniem, nawet zdawał się być zadowolonym, że usłyszał taką opinię.

– Spójrz tutaj – zaczął Oskar wskazując palcem ogromny, wyrazisty mebel. – Co widzisz?

Michał popatrzył zarazem ze złością, zażenowaniem, jak i poczuciem, że traci swój drogocenny czas na bezcelowe gierki.

– Szafa – odchrząknął sucho.

Oskar po tych słowach uśmiechnął się radośnie.

– Zobacz, widzisz tu tylko miejsce składowania ubrań. A taki C.S. Lewis spojrzał na taką szafę i odkrył, że jest to portal do odległej, baśniowej krainy. Krainy jaką tylko sobie wymarzył. A tu? Co widzisz?

– Plakat?

– Nie, nie. Pomyśl, jakbyś był w więzieniu i próbował z niego uciec, to jak skryłbyś podkop w ścianie? Co byś zrobił?

– Pewnie nalepiłbym go na ścianę – odparł po chwili, lecz bez większego porywu.

– King zrobiłby dokładnie to samo! Albo o, ten tu pierścień. Po szybkim spojrzeniu uznałbyś, że to jedynie biżuteria, ładna ozdóbka na palec. Tymczasem Tolkien skrył w nim wielką moc, pozwalającą schować się przed wszelakim zagrożeniem...

Michała tylko na wpół interesowało to, o czym rozprawiał Oskar. Swoje skupienie skierował za to na sposób, w jaki o tym wszystkim mówił. Jaką mu to sprawia radość, jak przepełnia się wigorem na samą myśl o hipotetycznej, głupiej kartce papieru z wybranymi przez pisarza literkami.

– W takim razie po co mi jakaś literatura? Dobra, rozumiem, niektórzy mogą to lubić, ale ja tam bym wolał obejrzeć film albo zagrać w grę. Więcej dobrej akcji zawartej jest na ekranie, a nie w jakiś posklejanych zdaniach.

– I tu się mylisz. Spójrz na książkę jak na kamienną bryłę, nie tkniętą, nie poruszoną nawet przez wiatr. Dostajesz dowolne narzędzia i możesz opracować, co tylko ci się żywnie podoba. Tymczasem filmy czy gry są już gotowymi rzeźbami, z czego chociaż każda może opierać się na tym samym pomysle, zawsze będzie inna. Wszystkie bowiem stają się pewnym zamiarem i interpretacją twórcy. Nadal może być piękne i warte zapoznania, ale przy tym omijasz to, co najpiękniejsze.

- Co takiego?
- Możliwość wyrzeźbienia tego, co najbardziej przypada ci do gustu. Tekst staje się tylko fundamentem do twojej własnej zabawy i kreacji. Cała przyjemność zaś tkwi w wykorzystaniu wyobraźni i własnych spostrzeżeń do stworzenia czegoś całkowicie nowego, niespotykanego.

Oskar, co zauważył Michał, wymawiał to wszystko jakby na jednym, natchnionym wdechu. Przy tym ani na moment szczęście nie zniknęło z jego twarzy. On wierzył w to, co mówi i był tego pewnym.

- Do takiej zabawy trzeba mieć czas i chociaż podstawową wiedzę na temat książek. A ja nie mam ani jeden z tych rzeczy – drażył Michał usilnie próbując znaleźć sposób na odbicie słów Oskara.

- Co ty! Nie potrzebujesz żadnej specjalistycznej wiedzy ani nic. W końcu to ma być twoje dzieło, które podobać ma się tobie, nie komukolwiek innemu.

Mówiąc to, Oskar skoczył do szafki i ujął w swe dłonie pozycję o nazwie „Zwiadowcy” Johna Flanagana i przekartkowując czwarty tomik wyszukał początek tytułowej „Bitwy o Skandię”. Następnie podał odkrytą książkę siedzącemu w zamroczeniu chłopcu, który nie wiedział co zrobić. Nietaktownym byłoby w końcu protestować. Tak też czytał i czytał, aż dobiegł do końca rozdziału, co zakomunikował niepewnym podniesieniem głowy.

- Co widziałeś przed sobą?

- Jakąś walkę.

- Tylko walkę? Na pewno są tam jeszcze jakieś szczegóły. No, dawaj.

- Wygląda na to, że byli na jakiejś polance, między lasem a wzgórzami – zaczął, a gdy Oskar wskazał dłonią, by ten kontynuował, ciągnął dalej. – Był tupot kopyt, wycie z rogów i świsty strzał.

- A pogoda?

- Nie było chyba nic o tym.

- I co z tego? To, że nie ma tego w tekście nie znaczy, że nie może być w twojej głowie.

- Może był poranek? Dosyć pochmurny, jakby zanosilo się na deszcz.

- I jak myślisz, kto triumfował? – zapytał Oskar.

- Pewnie ci dobrzy, wyglądali na zdeterminowanych i zorganizowanych – odparł Michał z dziwnym wyrazem twarzy, nie spotkanym jeszcze dzisiaj.

- Widzisz? Uśmiechnąłeś się. To znaczy, że podoba ci się twoja wizja. Jak chcesz, mogę ci pożyczyć tę książkę, chociaż lepiej zacząć od pierwszego tomu.

Bez faktycznego zamiaru, usta darzącego książki obojętnością podniosły się jeszcze wyżej. Sam Michał nie wiedział czemu, a to pytanie zostało z nim już do końca dnia.

- To co, robimy ten projekt? – zapytał Oskar wyciągając sporą kartkę.

Odpowiedzi nie otrzymał od razu. Właściwie nawet tego nie oczekiwał. Michał tymczasem pograżony był w myślach. Obwiniął się, choć sam nie wiedział za co. Chyba za to, że wykazał jakiekolwiek zainteresowanie książką. A może dlatego, że tak długo z tym zwlekał?

- Jasne, bierzmy się za to – odparł po chwili z lekkim uśmiechem.

Samą ocenę z przedmiotu zawdzięczał przede wszystkim Oskarowi. Ten szczególnie wziął sobie do serca zadany projekt. Nie tylko zrealizował jego znakomitą większość, lecz również prezentował go przed klasą tak, jak gdyby wygłaszał mowę. Niemalże wszyscy potraktowali to zadanie jak sposób na „szybką ocenę”, pewniak w postaci piątki za napisanie czegokolwiek. Ale zabrakło w tym czegoś, pewnej esencji i duszy, którą nadał dopiero Oskar. To zaś zostało zauważone przez Panią profesor, która nie szczędziła pochwał zarówno dla jednego, jak i drugiego chłopca.

Po „zgarnięciu” oceny Michał wyszedł z klasy. Na korytarzu przywitali go Piotrek i Adam.

- No, no, ładnie żeś wodę lał – rzucił Adam.

– Ja tam bardziej od tej oceny gratuluję wytrzymania z tamtym dziwakiem. Ja już dawno bym sobie tlen odciął na twoim miejscu – zaśmiał się Piotrek, co wywołało również radość w oczach Adama. Michał zaś przy tym chociaż podniósł nieznacznie kącik ust, poczuł się nieswojo.

– Właśnie! Za takie poświęcenie wypadałoby dostać coś więcej niż tylko ocenę. Zgoda na zrobienie projektu z nim spokojnie podchodzi pod masochizm!

Gdy Piotrek dalej ciągnął swój niezwykle „przemysłany” wywód pełny „stosownych” żartów, Michał kątem oka spostrzegł, że na ławce nieopodal siedzi sam Oskar. Nie był daleko. A już na pewno nie na tyle, by pozostać głuchym.

– No, dobra, lecimy na anglika, widzimy się po szkole? – zapytał Piotrek.

Michał jedynie kiwnął głową, choć jego oczy ani na moment nie raczyły spocząć na rozmówcach. Koncentrował całą swoją uwagę na siedzącym w spokoju chłopcu, z którym nikt nie rozmawiał. Jego twarz jednak, co dziwne, ani przez moment nie wyrażała smutku.

Michał podszedł do Oskara. Akurat zadzwonił dzwonek.

– Słyszysz to? – zapytał Michał jakby chcąc zakryć twarz.

Oskar zdążył wstać z ławki, choć jego oczy pozostały utkwione w podłodze.

– Słyszę... I czuję... – wydusił, po czym odwrócił się na pięcie i już miał ruszyć, gdy nagle usłyszał Michała.

– Nie słuchaj ich. To zwyczajni idioci, którzy wykorzystają każdą sposobność do nabi-jania się.

– Nie przejmuję się. To nie jest w końcu pierwszy raz... Ale dziękuję, to wiele znaczy.

Jak ostatecznie zakończyła się kwestia z zagrożeniem Michała? Idealną odpowiedzią będzie obraz, który malował się krańcem czerwca. Michał siedział na jednej z ławek na dziedzińcu szkoły, ubrany w kredowo-białą, uprasowaną koszulę z wi-śniowym krawatem. Tylko czekał na wywołanie nazwiska i pochwylenie łąpczywie świadectwa potwierdzającego zdanie z każdego przedmiotu (choć do bycia prymusem było mu daleko).

Dzisiejszy dzień miał być ukoronowaniem całego roku, choć zawdzięczał go głównie Oskarowi, którego tak faktycznie poznał miesiąc wcześniej. Przez ten czas można powiedzieć, że zawiązała się między nimi więź. Rozmawiali często, chociaż najczęściej Michał lubił słuchać entuzjastycznych opowiadań Oskara na temat przeczyta-nych dzieł literackich. Niespotykaną pomyłką byłoby jednak stwierdzenie, że to jedyny wątek dyskursów podejmowany przez chłopców. Cóż, może z początku tak było, lecz z czasem przyjaźń ta rozwinęła się obejmując inne płaszczyzny. Oskar z wielką rado-ścią pożyczał Michałowi kolejne to książki, które ten pochłaniał w wieczory.

Na zakończeniu roku szkolnego Michał poczuł, że coś jest nie tak, czegoś brakuje. Z tą też kwestią poszedł do Pani profesor.

– Proszę Pani, dlaczego Oskar nie przyszedł na zakończenie?

– Niestety, zapewne zbyt szybko do szkoły nie wróci.

– Słucham? W jakim sensie?

– Oskar jest przewlekłe chory już od dawna. Dwa dni temu zadzwoniła do mnie jego mama i powiedziała, że jego stan się pogorszył.

Michał stał jak wbity w podłogę. Miał nadzieję, że to co usłyszał było je-dynie nieśmiesznym żartem czy snem sprowokowanym pobudzoną wyobraźnią. Ale to wszystko było przy tym zbyt prawdziwe...

Odebrał swoje świadectwo, zapozował do klasowego zdjęcia, po czym ru-szył w stronę wyjścia.

– Gdzie idziesz? Dawaj, idziemy uczcić koniec roku – usłyszał głos Adama zza pleców.

– Nie czekajcie na mnie – rzucił jedynie śpiesznie Michał, po czym wybiegł na ulicę.

– A temu co znowu? – zapytał podchodzący Piotrek.

– Jemu też już pewnie odbija – odparł Adam. – Chodź, wracamy.

Do szpitala Michał dotarł w jakieś piętnaście minut. Prędko odszukał recepcję i ruszył w kierunku sali Oskara. W środku spotkał go widok przykry, którego nie chciałby nikt doświadczyć.

Oto ten, wiecznie szczęśliwy i wdzięczny za wszystko chłopiec leżał pod białą pościelą w prostej, białawej koszuli. Jego twarz traciła barwę. W oczach konały te wspaniałe strzelające ogniki.

– Dlaczego... dlaczego nie powiedziałeś nic o chorobie? – zapytał Michał jakby z wyrzutem.

– Och, a gdzie tu byłby sens? – rzucił z narastającym uśmiechem. – Po cóż mam zaprzątać sobie głowę tak błahymi i nieistotnymi sprawami?

– Błahymi? Oskar...

– Jeżeli miałbym umrzeć za pięć minut, pięć godzin czy pięć lat, nie zniweczyłbym ani chwili na pytania „co by było, gdyby...”.

Po tych słowach nastała cisza, tak głucha, że jedyny dźwięk w pomieszczeniu dawały wskazówki zegara. Natrętne milczenie urwał Oskar.

– Widzisz, jednak zdałeś – zauważył z uśmiechem widząc trzymane pod pachą świadectwo.

Usłyszawszy to, Michał od niechcenia zerknął na świstek lazuruowego papieru, aż nagle coś sobie przypomniał. Coś co niezaprzeczalnie wywołało u niego poruszenie. Prędko bowiem rozsunał małą torbę przerzuconą przez plecy, a z niej wyciągnął biret absolwenta.

– To dzięki tobie – powiedział Michał, po czym nałożył go na głowę Oskara.

– Przecież to twoje świadectwo. Twoje oceny.

– A twoja pomoc... – wydusił Michał, po czym dodał jękając się:

– Dziękuję, za wszystko...

Chłopcy długo jeszcze rozmawiali, opowiadali historie i śmiali się. Wreszcie przyszła jednak pora, gdy Michał musiał opuścić szpital. W końcu żadne spotkanie nie trwa wiecznie.

Gdy stał już w progu, odwrócił się, by zadać ostatnie pytanie.

– Nigdy mi nie powiedziałeś. Dlaczego tak kochasz literaturę?

– Bo pozwoliła zasmakować życia, które nigdy nie było mi dane.

W jego głosie nie było żalu ani rozpacz. A może i pewna wdzięczność za to, co miał, a nie za to, co mieć by mógł, gdyby świat nie pozostał głuchym...

Michał opuścił szpital, w jego głowie pojawiały się liczne pytania. Jedno z nich nasunęło się, gdy zauważył grupkę dzieci siedzącą na schodkach z wbitymi oczami w telefony: czy tak winna wyglądać prawdziwa wolność?

Nigdy się niczym me wyróżniałem. Mały, raczej niski, z daleka było widać tylko opadający na białe lica brąz. Znajdowałem się trochę na uboczu, ale robiłem dokładnie to, czego ode mnie oczekiwali. Solidny i niezawodny, taki starałem się być.

Z Józefem znałem się od kiedy pamiętam. Porządny z niego był chłop. Zawsze chętny do pomocy sąsiadom, angażował się w lokalne życie wsi. Przepadał na całe dni, ale zawsze spotykaliśmy się pod wieczór i spędzaliśmy ze sobą noc. Nieraz siedzieliśmy w ciszy, ale to nam nie przeszkadzało. Grunt, że mieliśmy siebie, a ja byłem przekonany o bezpieczeństwie, jakie dawał mi Józek. Myślę, że on też czuł się pewniej, będąc ze mną. Miał niestety jedną wadę – nie potrafił usiedzieć w miejscu. Był ciekaw świata, dlatego czytał, by dowiedzieć się jak funkcjonuje wszystko dookoła niego. Lubił jednak także majsterkować i zajmować się ogrodem. Szczerze mówiąc, to dużo bardziej wolałem, kiedy oddawał się właśnie tym pasjom, ponieważ byłem wtedy blisko niego i z podziwem oglądałem wprawę oraz pomysłowość, z jaką wykonywał te czynności.

Po sąsiedzku, tuż za miedzą, mieszkała Wiktoria. Ładna, inteligentna, aktywna w naszej społeczności, tak samo jak Józkowi zdarzało się jej grywać w wiejskim teatrze. Zakochali się w sobie i pobrali. Dobrze mi się żyło z Józkiem, a i Wiktoria była bezproblemowa, zaprosiłem ich więc do mnie. Oni weszli w moje skromne progi z przyjemnością i tak oto zamieszkali pod moim dachem. Życie płynęło nam spokojnie, a wkrótce rozjaśniły je dzieci moich przyjaciół. Brakowało u mnie miejsca, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo skoro każdy znajdzie przestrzeń do spania, a Bóg darzy pełnym zdrowiem, to i nie ma na co narzekać.

Szczęście nasze mogłoby trwać bez końca, ale niestety przyszła do nas wojna. Chore czasy pełne mordy, głodu i cierpienia. Pierwsze lata na szczęście nas oszczędziły. Niestety, z kolejnymi miesiącami było coraz gorzej. W 1942 roku Józef stwierdził, że trzeba pomóc Żydom, których z niewiadomych mi przyczyn zaczęto ścigać i zabijać. Mój przyjaciel pomagał im ukrywać się w lesie oraz przynosił im jedzenie. Nie komentowałem tego, bo wiedziałem, że robi to co słuszne, nie bacząc na ryzyko. Zresztą i tak nie byłbym w stanie zmienić jego zdania. Za długo się znaliśmy, żebym mógł chociaż się co do tego łudzić. Niebezpiecznie się zrobiło, kiedy wpuściliśmy do nas nasze żydowskie sąsiadki. Był to chyba pierwszy raz, kiedy zwątpiłem w Józka. Prawdą jest, że groziło im niebezpieczeństwo, ale jeśli je przyjmujemy, to nam też. Znałem opinię Józka, ale musiałem zapewnić nam bezpieczeństwo. Z tym byłem i jestem nadal kojarzony. Byłem pełen niepewności, bo przyjmując sąsiadki na moje poddasze, pomagamy im, ale ryzykujemy swoje życie. Chciałem pogadać o tym z Józkiem, ale stwierdziłem, że on dobrze o tym wie. Mimo tej świadomości, nie pozwalał, aby strach zawładnął naszym życiem. Musieliśmy być ostrożni, zamykaliśmy okna, świeciliśmy nie więcej niż zwykle, ale zachowaliśmy przy tym pogodę ducha. Wkrótce przyjęliśmy jeszcze więcej Żydów do siebie. Ostatecznie było ich ośmioro. Zapewne dotrwalibyśmy tak do końca wojny, ale los napisał dla mnie i rodziny Józefa zupełnie inny, tragiczny, scenariusz.

Wszystko szło po naszej myśli. Po prawdzie, niektórzy sąsiedzi wiedzieli, że ukrywamy Żydów, ale panowała solidarność. Wszyscy liczyliśmy, że zakończenie wojny nastąpi za niedługo i powróci życie, jakie wszyscy znamy. W rodzinie każdy odgrywał swoją rolę. Ja na przykład starałem się nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, pozostając widocznym, ale nie rzucając się w oczy. Stanowiło to kluczowy cel dla naszego przetrwania. Nie było to łatwe, ale jak już mówiłem, taki już jestem, niepozorny, lekko na uboczu. Nadawałem się zatem wręcz idealnie.

Mimo naszych starań, niestety nie udało się. Czasem tak jest, dajesz z siebie ile możesz, nie popełniasz żadnych błędów, a na koniec i tak nie odnosisz sukcesu. Z nami los rozprawił się jednak nad wyraz okrutnie. Choć nie, nie był to los. To brak zrozumienia i ludzka zawiść są winne wszystkiemu. Bo jak wytłumaczyć, jak zrozumieć, to co się stało!?

Tego ranka nie zapomnę nigdy, ponieważ to wtedy straciłem przyjaciół. W dniu 24 marca, o świcie, do mojej sieni wdarli się Niemcy. Krzycząc coś strzelili serią po suficie. Trafili mnie kilka razy, ale nawet się nie odezwałem, strach odebrał mi mowę. Wiedziałem już, że są wśród nas martwi. Najpierw straciliśmy naszych sąsiadów, potem kazali wyjść pozostałym na zewnątrz. Józef nawet próbował się sprzeciwić, coś powiedzieć, ale mu nie pozwoli. Cała rodzina stanęła pod ścianą. Byli tuż przy mnie, wręcz mogli mnie dotknąć, a ja nic nie mogłem zrobić. Patrząc tępo na ludzkie bestialstwo, musiałem pożegnać się z przyjacielem i całą jego rodziną.

Początkowo ciała zakopano w ogródku, blisko mnie. Po pewnym czasie sąsiedzi z Markowej przygotowali trumny i pochowali ich po kryjomu w zbiorczej mogile na cmentarzu. Mimo że są dalej ode mnie, to cieszę się, bo zasłużyli na pogrzeb. Byli nie dość, że aktywnymi i lubianymi członkami lokalnej społeczności, to wielkimi bohaterami, którzy nie bali się robić tego, co słuszne. Z czasem nad ich grobem pojawiła się tabliczka informująca o tym, czego dokonał Józef, mój przyjaciel, razem ze swoją rodziną. Jej treść jest prosta, ale dzięki temu zrozumiała dla każdego – „Tu spoczywa rodzina Ulmy Józefa wymordowana przez zbirów Hitlera”.

Ja tymczasem dotrwałem do końca wojny. Mały, raczej niski biały domek z brązowym dachem z dala od centrum wsi. Nikt już we mnie nie zamieszkał. Moje pokoje są tak samo puste jak moja dusza, komin tak samo zimny jak moje serce, a ściany w takiej ruinie jak moje życie. Nikogo już nie wpuszczę w moje progi, nikomu nie dam schronienia pod moim dachem. Czasami, w momentach kiedy mogę zapomnieć o samotności, pod moimi ścianami z bali przebiegnie kilka saren albo na moim parapecie przysiadzie zbłąkany ptak. Przypatruję im się wtedy z ciekawością i zastanawiam się, dokąd tak pędzą. Czy lecą, bo nie mogą się spóźnić na próbę wiejskiego teatru, czy biegną, by przedyskutować z innymi mieszkańcami lasu swoje opinie na temat otaczającego ich świata. Nie wiem i zapewne nigdy się nie dowiem, ale ciekawi mnie to i dostarcza kolejnych tematów do rozmyślań.

Niedawno, na tydzień przed 72. rocznicą śmierci rodziny Ulmów, otwarto w Markowej Muzeum Polaków Ratujących Żydów. Jego budynek jest piękny, nowoczesny, nie mogę się z nim nawet porównywać. Dumą napawa mnie jednak, że nosi imię moich przyjaciół. Można powiedzieć, że jesteśmy trochę spokrewnieni. Nie mam jednak zamiaru go odwiedzać, za dużo koło niego ludzi, a ja wolę unikać ich skupisk. Czasami jednak, po wizycie u niego, przychodzą też do mnie. Są to raczej spotkania dość krótkie i przygnębiające, ale miło, że o mnie też się pamięta. Bądź co bądź, kto ma znać prawdziwy obraz rodziny Ulmów, jak nie ja, ich towarzysz, mały, raczej niski biały domek...

Poprawiłam biały, bawełniany przyciasny czepek przytrzymujący skrajnie nisko upięty kok i powolnie wypuściłam z siebie zaciskane i przetrzymywane od dłuższego czasu powietrze. Skrępowane i zakneblowane jak schwytany rozbójnik czekało na chwilę odzyskania wolności. Kolejne sekundy mojej minutowej swobody wykorzystałam na rozgoryczone pośpiechem rozluźniające ruchy ramionami, szyją i lędźwiami, aby za chwilę z powrotem mogły wrócić do zeszywniałego kształtu, do tej dobrze znanej zastygniętej zmęczeniem formy, odcinającej najdrobniejszą nawet myśl o wylaniu się poza wyznaczoną granicę. Przełknęłam nerwowo ślinę. Nadchodziły makarony. Lekki czepek zaczął niewygodnie uciskać, a jego miękkie, gumowe zakończenia wpijały się w linię włosów i niby niewinne przypominały, że jestem ograniczona. Ostatni raz poprawiłam biały kitel i zaciągnęłam wyżej silikonowe rękawiczki. Ostatnie chwile człowieczeństwa. Nagle jak podłączona do kontaktu, zmuszona bezdyskusyjnymi siłami poczęłam wykonywać te wyuczone, automatyczne ruchy. Zasady były proste. W każdym tekturowym pudełku miało znaleźć się po 15 mniejszych plastikowych opakowań z świderkowatym makaronem, następnie takie pudełko miało zostać zamknięte bardzo szczelnie, oklejone, oznaczone pieczęcią firmy i odstawione na wózek widłowy. Palce szybko chwyciły paczki i zaskakująco prędko układały je w tekturach. Bardziej jednak zadziwiała precyzja. Każde opakowanie trafiało idealnie tam, gdzie powinno się znaleźć, taśma gładko pokrywała szczeliny przy zamkniętych wieczkach, a pieczęć perfekcyjnie przyczepiała się w prawy dolny róg wierzchu pudła. Perfekcja nie jest cechą ludzką. To nie ja wyciskałam odbicia czerwonych stempli, nie ja wrzucałam makaronowe pakunki do środka, to wszystko samo się działo, napędzane prądem pamięci mięśniowej. Byłam zwierzęcą maszyną. Jak sokół lokalizowałam kątem oka, skąd pochwycić zawiniątko, które kocio spadały w cztery rogi pudła, z tygrysią siłą dociskałam wieczka i jak gepard prędko naciągałam taśmę. Ale nie posługiwałam się ani wolą, ani instynktem. Wszystkie ruchy były machinalne i automatyczne, jakby pracujące ręce rezygnowały z przynależności do organizmu, podejmując samodzielne i prywatne decyzje o tym, jakie ruchy wykonają. Ja maszyniałam. Słyszałam koła zębate przestawiające klikające stawy, robotyczny szum zginanych metalowych kończyn i rozgrzewające się kable nerwów zasilające mój układ. Majaczyłam, słysząc krzyk rozrywanej taśmy, szaleńcze bełkoty świderków i mlaszczące tuszem poduszki z pieczętek. Towar z lewej wciąż sunął, zastępując nowym sobą spakowanego już poprzedniego siebie. Nie pojedyncze porcje, a On niezmienny i nieprzenikniony Towar. Nie koncentrowałam otępiełego umysłu na pojedynczym stempelku, każdym świderku ani nawet na kawałeczku taśmki. Nie było, że o! kolejna paczka wypełniona, ani że o! za chwilę przyjedzie następna. Bez uzmysłowienia sobie przemijalności czy zwykłego postępu w usuwaniu się pracy. Nie rozglądałam się, w transie przeżywając mozolną teraźniejszość. Była: tu pieczęć, tu pudło i właśnie tu taśma. Spojrzenie nieświadomie skoncentrowanych gałek ocznych jedynie horyzontalnie skanowało „w te i w tamte” ten sam metr taśmy produkcyjnej, który rutynowo powinna analizować zaprogramowana szyja. Nad kim króluje podnoszenie makaronu, przesuwanie stosów i odkładanie na miejsce? Sam proces i istota manewrów nie wpędzają w ten nałóg wytresowania. To powtarzalność była moim dyktatorem, wstrzykującym w krwioobieg toksynę zniewolenia i spolegliwości. Nie rodzaj czynności, a jej cechy. Ta niemuzyczna rytmika pracy wstukiwała we mnie przymus posłuszeństwa nieskończenie napędzając się sama sobą. Nie miałam nic do powiedzenia, wykonywałam rozkazy tych niby stabilnych, ale rosnących w siłę cech. Jak pozbawiona woli poddana dworu abstrakcyjnych i niewidzialnych cech, tak potężnych, bo niepowstrzymanych. Nagle ręka maszyny mojego ciała nie wyczuła pudła, które chciała podnieść, a natrafiła na ostrą pustkę. Dziwnie spięte mięśnie nie były przygotowane na nienapotkanie oporu i niezrozumiałe zwiotczały, gdy nie wyczuły tego, po co sięgały. Druga ręka jednocześnie nie wymacała plastikowych makarono-

wych paczek i zacisnęła się w pięść, łapiąc w garść jedynie powietrze. Dopiero po chwili oczy zarejestrowały obfitą pustkę wciąż sunącej linii produkcyjnej. Ilość tej nicności była przytłaczająca i wymusiła wyrwanie się od zasilania. Ręce przypomniały sobie, że są podległe tułowiowi, a sztywny kręgosłup odkrył nowe płaszczyzny ruchu. Zachwycająco świadomie rozpędziłam mroczki przed oczami i odwróciłam powoli głowę na lewo, czując się jak dziecko, które dopiero zaczyna rozumieć poruszanie własnym ciałem. Praca skończona. Wokół rozległy się szmery i szepty innych pracowników, nagle odłączonych od maszynującego zasilania, zyskujących kontrolę nad ciałem. Rozglądali się nieprzytomnie, rozciągali stawy, aby po chwili docenić uśmiechem przychodzący odpoczynek końca dnia. Ożywiające się istoty coraz bardziej ochoczo zrzucali smerfowe czapki i wychodzili, czy raczej niezdarnie wybiegali z sali produkcyjnej. Lekkie wygięcie moich ust rozgrzało skostniałą twarz i dodało jej koloru. Po nocnej zmianie, wychodząc z budynku, moją skórę owiał chłodny poranny wiatr, pokazując, jak to jest odczuwać. Powiewały żółte piórka mojego kanarkowego ciała, zwyczajnie uciekającemu z ozdobnej klatki. Chciało by się powiedzieć, że nogi same skierowały mnie na łąkę, ale to kłamliwe stwierdzenie. To ja sama zdecydowałam, gdzie się chcę udać i tylko ja wiedziałam, jakie cechy tego miejsca mnie w nie przyciągają. Ale ja jestem świadomie przyciągana. Chcę być przyciągana, a więc podejmuję decyzję na podstawie własnych upodobań. Rozprostowuję zgarbioną wolę i wyrwam się panowaniu tych cech, cech złych i strasznych. Teraz mogę zdecydować. Mogę być tak cudownie beztraska i spontaniczna, natchniona kolorem świata po opuszczeniu szarego, przykrego i nijakiego ubezwłasnowolnienia. Frunę ku narastającym odczuciom i bodźcom, płynącym z wybuchającego życiem otoczenia. Jest chłodnawo i bardzo mi się to podoba. Poprowadziłam moje uświadomione ciało najpierw chodnikiem, tam przy pomniku Chopina i prędko skręciłam w polną wydeptaną ścieżynę prowadzącą przez łąkowe wzgórze aż do sosnowego lasu. Wydawało mi się, że powinnam wgłębić się w gąszcz ciemnych, iglastych pni, tak jak robiłam zazwyczaj. Moim potęgującym się chceniem nakryłam dogasające „powinnam” i oderwana od szablonu zatrzymuję się na trawiastym wzgórzu. I mimo że naruszone człowiekiem, było to miejsce idealne. Miejsce, w którym jestem tylko ja. Miejsce ciche, spokojne, sprawiające wrażenie, iż nie ma w nim żywej duszy. Pustka. Ogromna przestrzeń. Siedzę po turecku na zimnej glebie i relaksuję się, oddychając głęboko. Przymrużam oczy. Ach, z jaką premedytacją i nieprzypadkowością. Szum zbóż, szelest traw, aksamitny dźwięk płatków kwiatów polnych, muskanych mruczącym wiatrem. Głośno tu. Wszystko przesyczone jest namacalnym spokojem, pokojem, rozpluwającym się przyjemnie po moim ciele. Harmonia wibracji uspokaja duszę. Jestem bezpieczna. Otulona ciasno pustką, ale taka wolna. Z duszą, mającą więcej swobody niż we własnym ciele. Ja jestem sama? Otwieram oczy. Zaskakujący bezmiar kolorów. Jak okiem sięgnąć rozciągają się łąki. Ja – siedzę na małym wzniesieniu. Jestem w najwyższym punkcie w okolicy. Jestem na tronie. Moi poddani z szacunkiem kłaniają się wraz z podmuchami wiatru. Każdy kłos zboża, każda główka niewinnej roślinki, kwiatusek wszelkiego koloru; wszyscy z pokorą chylą czoła, uginając się skromnie i nostalgicznie ku ziemi... Ile tu szeptów. Jak tu cicho. Wrzosa. Ach, ta dumna szlachta. Zawsze w purpurze. Maki. Urodziwe, rumiane dworzanki. Chabry. Bezwstydni panicze. Jestem w królestwie. Dobrze mi tu. Przesuwam dłoń po najbliższych roślinach. Delikatność płatków, ziarnistość pyłków, gładkość liści. Tyle różnych tekstur naraz zaskakuje moją dłoń. Podnoszę upojony wzrok i raz jeszcze ogarniam spojrzeniem okolicę. Dużo, pełno, jak syto. Przymykam oczy i biorę głęboki wdech. Rajska woń kwiatów, soczystej trawy, przesuszonego owsa. Tyle odcieni zapachów wgryza się z oddechem. Spod ponownie przymrużonych powiek wypływa perlista łza. Chciałam, żeby wypłynęła. Celowo rysuje na moim policzku obraz aktualnych uczuć, pragmatycznej woli i spontanicznej sensowności. Słona kropla spada na glebę tuż przy mojej dłoni, a ja widzę jak wchłania się w nią, szepcząc zdrażając jak słodka i potrzebna jest wolność. Dopóki nie wrócą makarony.

Byłem kurą, co wydając jaja na przesycenie sytości, płonęła drobną oskomą przestrojenia w lotnego gołębia. Dyskontując skrzydła, poleciałbym do miejsca niezmaconego i suwerennego od wszelkiej niepogody.

Tymczasem karminowe słońce skwiercząc wściekle, przyszpiliło moją wyschniętą skórę wprost do kości. Proch ziemi, który naiwnie spożywałem jak lekarstwo, zatruł mnie poddaństwem. Potulnie nastrajałem się na to, że moje przeorane pługiem tumiwisizmu plecy roztopią się, a wraz z nimi zalegną w grobie fiołkowe autostrady goryczy światem i akty buntu. Wkrótce jasność skórę zrywając, dorwała się do miąższu i wysssała szpik kostny, a kiedy pozostały obrócone wniwecz kości, zaraz pożarły je piaskowe lejki. Tak oto moje serce, pozbyło się cielesnego więzienia. Było już tylko naiwną energią odbijającą się w każdym ziarenku piasku, pragnącą usypać babki serdeczności, o które będzie potykać się wielu.

– Pozmywam – aksamitna mowa mojej siostry, dała do rozwagi, że ceni sobie skwapliwość w kontaktach z porządkiem. Nie czekając na oklaski, zdjęła dłoń troskliwie ułożoną na wzdętym brzuchu, a ja naturalnie sięgnąłem sufitu, alarmując gotowość do współudziału w zbrodni. Choć kochane dzieci igrające na tyrolce, które dane mi było oglądać z okna, ulokowanego naprzeciwko nakrytego stołu były widokiem rubasznym, stokroć wolałem karmić swój ośrodek nagrody dobrym uczynkiem. Dodatkową rekompensatę stanowiły uniesione kąciki warg, czerwonych jak rana, co poderwały się, aby zdobyć szczyty pełnych policzków. To przywiodło na jej twarz młodość świeższą aniżeli nowe uczesanie, które rozszyfrowałem już na wejściu.

Zgoda na tę bezbronność wobec świata i potrzeb innych ludzi wyprowadziła się z pnia samego mózgu, a zastąpił ją oswojony zawód, kiedy niegrzeczny współtwórca dziecka rosnącego w brzuchu zagadnął:

– Nie obraż się, kochany szwagrze, ale ludzie mają naturalną potrzebę służenia sobie i swojej jaźni. Dlaczego wbrew sobie, naiwnie powtarzasz sceny szóstej stacji?

Ten impertynent kondensował moje istnienie do ości po rybie, którą traktuje się nieżyczliwie, choć ona zupełnie kordialnie traktuje swoje bytowanie w ciele ryby. To mi doskwierało. Opadłem na kosmaty fotel, utkwilem szkliste oczy w zastawie stołowej i wycofałem się na pustynię w nadziei, że odnajdę resztki zbroi, która by mnie uchroniła przed ludźmi orbitującymi na planecie ego.

– Nie bierz tego do siebie... Dokończ, proszę chleb bananowy co do okruszka, to nie będzie tyle zmywania.

To było niemożliwe; wysłuchiwać przykrości, które wchodziły w kości jak oliwa w akompaniamencie tego zasranego, wełnianego swetra, który nagle począł wygryzać ze mnie ostatnie siły. No i ten ocet, który miał wygryźć bakterie na parkiecie, a tymczasem pożerał moje nozdrza...

– Altruizm jest formą egoizmu podobnie jak współpraca czy wspólnota, bo wszystko służy naszemu ego czy tego chcemy, czy nie. Po prostu altruizm jest formą, która w ostatecznym równaniu mniej prowokuje osobistych uśmiechów. A tak się składa, że są ludzie, których walutą jest uśmiech innych.

Kiedy osiłek podrapał się po brodzie, korzystając z jego rozproszenia, porwałem kilka kromek czerstwego chleba do kieszeni płaszcza, udowadniając, że ponad to co powiedziałem, czułość wobec bliźniego jest świętością. Ponieważ prawdziwą religią jest życie, jakie prowadzimy, a nie wyznanie, które nakładamy na usta. Jeśli musiałem czuwać z płaszczem i wstawać od stołu głodny, w zamian za swoją religię, byłem na to gotowy.

– Obudź się.

Dla niego oznaczało to tyle, co „pozbyć się swojej wrażliwości, bądź człowiekiem dla siebie” dlatego wyszedłem z tego domu, chciałem spać dalej.

Niebo pokryło się kocem rozcieńczonej śmietany i drugi maja ochrzcił mnie rzekami ciepła. Wiatr stąpający leniwie, popychał płynące po nieboskłonie, pstrokate balony.

Zapadłem się w roztrzaskanych cieniach, które rzucał blok i pragnąłem, aby wiosna zamieszkała w ludziach, abym bez strachu trzymał serce na dłoni. To jednak niemożliwe, na blokowisku, powlekany licznymi siatkami chodników, dzieciaki z pobliskiego liceum przycupnęły, aby kopcić jak kominy, a stare mieszkanki z niesmakiem doglądały tego zza szyb. Przymierzałem do odejścia, kiedy pod blokiem na przeciwko, dostrzegłem siwego mężczyznę z grymasem na twarzy. Osobliwy jegomość złapał moje spojrzenie i mruknął:

– Zdechł mi na balkonie zasraniec.

Kolejno, wyciągnął rękę przed siebie i pomachał truchłem maleńkiego wróbelka jak grzechotką. W Księdze Kapłańskiej dwa wróble były ceną za zatrzymanie trądu, ale w świecie okrutnych dorosłych jeden był tym, co wzbudza wzdąę. Czas kapał z kranu, jak nieudana sztuczka magika, a mnie jakby zatrzymywała się akcja serca, kiedy patrzyłem na ciało mojego brata mniejszego, które wpadło do śmietnika. Kiedy staruch odpalił fajkę dumny z siebie, jak wilk morski po przeżytych sztormie, wydarłem jedyne dobro nieszczęśnika z haniebnej trumny.

– Rany boskie, to zdechło – mruknął, jakby widział trędowatego.

Moje serce też konało – pod naporem tego zimnego okrucieństwa. Nawet flakon pozbawiony kwiatów, zasługiwał na najgorliwsze ukochanie. Dlatego ucałowałem poszarzony dziobek i włożyłem ciało delikatnie, do kieszeni.

– Obudź się, chłopcze – powiedział, a ja śpiąc w najlepsze, myślałem o miejscu pochówku.

Później pozwoliłem pamięci mięśniowej prowadzić mnie przez Olejarską i kiedy pokonałem ledwie zabezpieczone przejście kolejowe, poddałem się rozmyślaniom na kładce zakochanych. W treść jej nieskomplikowanych barierek wczepione były kłódki prezentujące uczucia; taki sobie lokalny Paryż. Choć patrzyłem na ten wynalazek okiem życzliwym, jakieś roztargnienie zamieszkało we mnie i oparłem łokcie na balustradzie nagle niezaaprobowany. W mieliznach naigrywały się kaczki, które niegdyś, z ręką włożoną w mój płaszcz, dokarmiała rozkoszna blondynka, co pozostała tylko śmiertelnym imieniem obok mojego, na nieśmiertelnej kłódce. Aby uczcić jej widmo, bez umiaru, który ją przerażał w mej ofiarności, cisnąłem pajdy do wody.

– Zamiast cieszyć się, że ma w tych trudnych czasach, to rozdaje durnym kaczkom – parsknął przechodzień.

– Jesteś gościem na ziemi, powinienes troszczyć się o dom i jego tuziemców.

– Lepiej się obudź, szaleńcze.

Ludzie byli gatunkiem z językami ostrymi jak u węża; podłe słowa okrywały ich jak płaszcze na miarę skrojone, ale mimo tej wiedzy, za każdym razem ich naturą godzony, niknąłem w sobie jak dym. Tamtego dnia, usłyszawszy kolejne podłe „obudź się” zapragnąłem przejednać ten żelazny sen serdeczności i paść w obojętność, ego piórkiem smagać. A jednak miałem wciąż powód, by śnić...

Ząb zaczął mnie boleć i promienistość tego odczucia na tyle raziła, że styki myślowe zdołały wysupłać pomysł na miejsce pochówku; zielony park Jordana.

Za dnia jego bogate alejki z rozsianymi na około ławeczkami, kusiły do zanurzenia się w pokój. No i te wszystkie boiska czy placiki zabaw, które ściągały rozkoszny świergot ludzkich latorośli... Ich peanom młodości towarzyszyły koncerty ptasząt buszujących w koronach drzew. Wieczorem zaś, łagodna zieleń pokrywająca miejsce zapachem pierwotności, zapraszała na występ zgraje świetlików, które tańczyły przy ariach operowych świerszczy.

Podszedłem do samotnego drzewa, które rosło za dwoma ławkami; chciałem, aby ptak baczył na swoich krewnych śpiewających z gałęzi.

Umieściłem go na trawie, aby mógł pożegnać jej szumiącą legendę i zacząłem kopać. Ziemia o tej porze roku była przyjemnie nagrzana i choć pozostawała

mi pamiątki pod paznokciami, była miłym gościem. Wkrótce powiłem niewielkie wgłębienie i nadziewając pióra solą z oka, włożyłem dziecko przestworzy do wnęki w ziemi. Stopniowo, wyobrażając sobie, jak wiele rzek nie dane mu było zobaczyć, poczęłem delikatnie okrywać go brunatną kołdrą natury.

– Co robisz? – gruby, damski głos przedarł eter jak strzała, zwalając mnie z kolan.

Wkrótce stanęła przede mną osoba ubrana w malachitowy uniform. Żyłsta dłoń z rdzawą opalenizną na widok mojej ceremonii, wypuściła skrzynkę na narzędzia, która z chrobotem zwymiotowała cały stos żelastwa. Orli nos upstrzony zmarszczkami zadął się ku górze w akcie zgrozy, a wargi rozdziawiły chętniej, niż morze czerwone rozstąpiło się przed Mojżeszem. Ząb na nowo zaczął szczypać mnie w dziąsło.

– To nie jest wysypisko śmieci do cholery, obudź się!

Ból tylko się wzmógł, kiedy kobieta podbiegła a jej silna dłoń pozostawiła na mojej smagłej cerze czerwony placek okrucieństwa.

Wtedy przestałem być kurą, a stałem się rzeźnią. Paski tłustego mięsa zwisały z żelaznych haków podwieszonych pod sufitem. Zrujnowane szczątki lśniły jak poranna rosa. Moje rozdarte serce biło w rytmie robaków ssących niezaopiekowane skrawki. Byłem cuchnącym pokojem nienawiści do samego siebie.

Falując w rytmie goryczy, podniosłem się na nogach z waty i nieprzytomnie porwałem w gorące dłonie kombinerki. Miałem swoje podejrzenia. Kiedy wylądowałem na zadaszonym parkingu sklepu, stał ochłodziła powierzchnię jedyńki. Oburącz naparłem na rączki narzędzia i wkrótce, ból wżynający się w głowę ustąpił z morzem posoki.

A jednak wciąż spałem. Lament, który na krótko wstrząsnął moim ciałem, wkrótce zmarł, a zastąpił go maniakałny śmiech, będący implikacją złotej myśli.

Wkroczyłem na Grodzką, przełamałem kordon ludzi zalewających przystanek. Zostawiłem za plecami turecką kanciapę. Minałem stare kino „Sokół” i po charakterystycznym dla mojej natury, lunatycznym spacerze, wylądowałem na jasnym ryneczku. Podczas tej srogiej zimy wewnątrz siebie, nie mogłem zapłakać nad pięknem tej zabytkowej zabudowy, więc przymknąłem powieki.

Wkrótce dotarłem pod prawdziwą perłę krośnieńskiego budownictwa – wczesnobarokową, 38-metrową wieżę o baniastym hełmie górującym nad starówką. Korzystając z dobrodusznie otwartych drzwi – wkroczyłem w zaświaty. Niepotrzebni byli mi Wergiliusz, Bernard czy Beatrycze. Człowiek rodzi się sam i jak przekonała mnie brutalna natura świata – taki też umiera. Dlatego w końcu pragnąłem szczerze się obudzić, wybrać siebie.

Pokonałem strome schody i ciężko dysząc, wylądowałem w ciemnej sali. Kiedy kurz tańczący w powietrzu zmusił mnie do kichnięcia, ból spłynął kaskadami na mnie całego.

A mimo to, dłonie znajdując jakąś mistyczną siłę, złapały sznurek przytwierdzony do największego z dzwonów i jak babie lato przez wiatr porwane, ciągnęły to na przód, to na tył... Stojąc pod mechanizmem, dobrodusznie oczekiwałem, aż wi-brujący klekot dzwonu rozłupie sen twardy.

Przebudzenie jednak nie nadeszło, nawet gdy grmiący Urban wyrwał się z okowów zabezpieczeń i przytulił mnie czule czterema tonami miłości.

Człowiek, biorąc oddech, pielęgnuje w sobie śmierć i chyba przez moją nadgorliwość, zbyt szybko we mnie dorosła, a jednak czułem, że to właściwe. Ponieważ nie powinno budzić się z wrażliwości wobec drugiego człowieka Postępując tak, przestaje się obracać dookoła słońca i twarz zasnuwa obojętność właściwa wyłącznie dla zmarłych, oślepia się świat. Wolę zalec w trumnie czuły, niż nieczuły żyć.

Dlatego pompuję krew do dwóch obiegów, wystawiony na pełne słońce, a płomień pragnienia, aby odlecieć czy się obudzić, stygnie.

– Kochanie, zbieraj się, zostało niewiele czasu.

Tak zaczynał się każdy kolejny dzień. Nie wyróżniało mnie nic pośród innych. Mama odeszła, gdy byłam mała. Nie miałam okazji jej poznać. Nigdy o to nie dopytywałam i nie szukałam odpowiedzi, jednak każdego dnia jadąc do szkoły, wpatrywałam się w okno i zastanawiałam, gdzie ona jest i dlaczego to zrobiła. Właściwie nie wiem, co czułam. Wewnątrz mnie zadomowiła się pustka. Nigdy nie doświadczyłam miłości z jej strony, nie wiedziałam, jak to jest dzielić z nią wspólne sukcesy, spędzać razem czas. Nigdy nie poczułam dotyku i nie słyszałam słów wsparcia. Mogłam wymieniać słowo mama bez przerwy, a ono nawet nie tuliło dźwiękiem. Czułam się gorsza, inna, a może niekochana. Nie wiedziałam, dlaczego padło na mnie, dlaczego to właśnie muszę być ja. Patrząc na rówieśników, czułam ból i niepewność. Wychowywali mnie ojciec i babcia. Byli słynną rodziną sukcesu, a ich drugie imię to sława i pieniądze. Troszczyli się o mnie i zawsze byli przy mnie, gdy tego potrzebowałam. Pomimo tego nie wypełnili miejsca, które zostało puste po odejściu matki. Wychowałam się na ich żelaznych zasadach godnego życia. Miałam dużo, ale i tak za mało. Bałam się kochać i ufać. Dlatego zawsze robiłam wszystko po swojemu i nie liczyłam się z opinią innych. Słyszałam „Otwórz się na innych, daj sobie pomoc”, ale ja nie potrafiłam. Miałam kilku przyjaciół, lubiłam chodzić do szkoły, rozmawiać i spędzać czas z bliskimi. Zbliżał się dzień matki. Nigdy nie świętowałam tego dnia z oczywistego powodu... Jednak tym razem było inaczej. Rozmawiałam z moją przyjaciółką, a ona poradziła mi przeprowadzić rozmowę z ojcem. Zapytać, co się stało tego dnia, gdy byłam zbyt mała i zbyt nieuważna, by wypuścić z rączki jej dłoń. Ani razu nie poruszyłam tego tematu, kryłam swoje emocje i przemyślenia, bo wiedziałam, że dla niego też nie jest to łatwe. Postanowiłam to zmienić. Wróciłam do domu i poprosiłam, abyśmy usiedli na kanapie. Nabierając powietrza jak przed nurkowaniem, zaczęłam:

– Tato, wiem, że nie lubisz o tym rozmawiać, ale proszę spróbuj. Chodzi o moją matkę. Gdzie ona jest, dlaczego mnie zostawiła? – Jak bąbelki podwodnego powietrza uleciała moja niepewność. On wstał z kanapy i ze złością zaczął pocierać czoło. Widziałam, że się zdenerwował.

– Kochanie, to głupia sprawa, nie warto do tego wracać, zapomnij... - odpowiedział niepewnie obawiając się mojej reakcji.

– Nie rób mi tego. Ile chcesz to jeszcze przede mną ukrywać? Czy możesz wreszcie powiedzieć prawdę?! – podniosłam głos, wykrzyczałam pełna emocji i niezrozumienia. Niepewność ponownie otworzyła swe źródło, a po policzku spłynęła łza o smaku morskiej wody.

– Usiądź, twoja matka odeszła, gdy byłaś mała. Nigdy nie wzięła cię na ręce i nie otoczyła miłością. Byłaś jej obojętna. Pewnego dnia przyszła i oznajmiła mi, że odchodzi. Stwierdziła, że jesteś mała, nie będziesz nic pamiętała, a w przyszłości wszystko się ułoży – wyłożył „kawę na ławę” i w najbardziej obolałą część mnie wyjaśnił.

– Dlaczego jej nie zatrzymałeś? Dlaczego nie próbowałeś jej pomóc? – mówiłam do niego z żalem.

– Posłuchaj mnie, twoja matka była nikim. Spotkałem ją przypadkowo, ale nie żałuję, bo mam ciebie. Jesteś moim największym szczęściem... – chciał mówić dalej, ale przerwałam mu.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – krzyknęłam.

– Nie zatrzymałem jej, nawet nie próbowałem, bo wiedziałem, że to nic nie da. Była zimna i nigdy nie pokochałaby ciebie. Nie chciałem, żeby patrzyła na ciebie z litością – dokończył. Zaczęłam płakać. Tego było za wiele... W tym momencie emocje wzięły górę.

– Jaka ona była? – Bardziej zazgrzytałam niż zapytałam.

– Opuść, nie warto zawracać sobie tym głowę.

- Powiedz, jaka ona była! – powiedziałam ze złością, bo czułam, że tylko w ten sposób poznam prawdę. Widziałam, że coś przede mną ukrywa.
- Była nikim, zwykłą, głupia i biedna. Nie pasowałaby do naszej rodziny – powiedział z lekceważącym uśmiechem. Wtedy coś we mnie pękło. Wstałam, podeszłam do niego i powiedziałam:
- Zapamiętaj sobie jedno, nigdy więcej nie waż się mówić tak o mojej matce. Po tych słowach wyszłam na dwór i poszłam przed siebie. Próbował mnie zatrzymać, prosił, abym zaczekała, ale ja nie chciałam.

Szłam ze spuszczoną głową i wpatrywałam się w kostkę brukową. Przez głowę przechodziło mi tysiąc myśli. Nie wiedziałam, co będzie teraz, ale postanowiłam, że kupię kwiat i z okazji jej święta, postawię go na biurku. Niedaleko była kwaciarnia. Weszłam tam i ujrzałam panią ekspedientkę. Podeszłam i poprosiłam o żółtą różę. Była bardzo miła, udało mnie się zamienić z nią parę słów. Powiedziała, abym zwracała się do niej Kasia. Wychodząc, zapytała czy nie chciałabym się spotkać z nią przy kawie bądź herbacie. Na początku się wahałam, ale ostatecznie zgodziłam się. Poszłyśmy do przytulnej kawiarni i zaczęłyśmy rozmawiać. Wysłuchiwała mnie, pomogła i otoczyła wsparciem. Potrzebowałam takiej osoby. Czas nieubłagany mijał i wreszcie musiałyśmy się rozstać. Jednak nie na długo, bo za kilka dni umówiłyśmy się ponownie.

Wróciłam do domu. Czekali na mnie babcia i ojciec. Ominęłam ich i poszłam do swojego pokoju. Wstawiłam kwiat do wazonu i oparłam głowę na poduszce, wpatrując się w lustro.

Po kilku dniach wszystko wróciło do normy. Rozmawiałam z tatą, wybaczyłam mu, lecz nie zapomniałam o tym, co się wydarzyło. Poszłam na spotkanie z Panią Kasią. Świetnie się bawiłam. Rozmawiałyśmy o wszystkim, opowiadała mi o swojej pracy, a mnie to bardzo wciągnęło. Odkryłam w sobie nową pasję i zrobiłam swój pierwszy bukiet. Zaproponowała mi, abym kilka razy w tygodniu przychodziła i pomagała jej. Oczywiście, zgodziłam się, jednak to nie było takie proste.

Pewnego dnia do mojego pokoju wszedł ojciec i zapytał:

- Kochanie, gdzie wychodzisz? Pomyślałem, że pojedziemy na zakupy, kupisz sobie nowe ciuchy i fajnie spędzimy czas. Co ty na to? – powiedział z entuzjazmem
- Niestety dziś nie dam rady, ale innym razem – chętnie.
- No dobrze, ale powiedz mi gdzie idziesz w takim razie.
- Ostatnio wiele się dzieje, poznałam Panią z kwaciarni. Bardzo ją polubiłam i czasami pomagam jej przy bukietach. Dzisiaj poprosiła mnie, żebym przyszła, dlatego wychodzę.
- Chyba sobie żartujesz... – powiedział podniosłym tonem. – Chcesz mi powiedzieć, że pomagasz jakiejś kobiecie przy kwiatkach za nic i rezygnujesz z naszego czasu dla niej?
- Nie zaczynaj znowu. Jest bardzo miła i wyjątkowa i nie przeszkadza mi to, że nie jest tak bogata jak ty. Lubię spędzać z nią czas i odkryłam w sobie nowy talent. A co do ciebie, ostatnio często się kłócimy, więc nie wiem, czy to dobry pomysł, aby spędzać czas razem – powiedziałam odważnie.
- Talent, jaki znowu talent, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że układanie głupich kwiatków w bukietach to twoja pasja. Marnujesz się. Zapisze cię na dodatkowe zajęcia, wybierz co zechcesz, ale proszę zostaw tą kobietę i przestań jej pomagać.
- Czy ty kiedykolwiek myślałeś o tym, czego chcę? Chociaż raz zapytałeś, co sprawia mi przyjemność? A nie, zapomniałam, ty nie widzisz nic innego prócz siebie i swej wygórowanej ambicji, nic i nikt cie nie obchodzi. Jesteś nikim i nie mów mi, co mam robić. Po tych słowach wyszłam z pokoju.
- Masz wszystko czego chcesz, codziennie pracuję, abyś żyła w najlepszych warunkach. Kupuje ci drogie prezenty, a ty tak się odwdzięczasz? – wykrzyczał to. Wiedziałam, że jest zły, bo dotknęłam jego honoru.
- A pomyślałeś choć przez chwilę, że ja tego nie chce. Chce być tylko kochana, czy to tak wiele?

Po tych słowach wyszłam z domu. Po policzku spłynęła mi łza. Byłam na niego zła, nie spodziewałam się, że najbliższa mi osoba stanie się moim wrogiem. Poszłam do kwaciarni, a tam wszystkie smutki traciły swoją moc. Czas spędzany z Panią Kasią był lekarstwem na całe zło. Przesiedziałam z nią wieczór, obmyśliłyśmy pewien plan, a potem wróciłam do domu. W salonie czekał na mnie ojciec. On zaczął:

– Córeczko, przepraszam, nie powinienem tego tak rozegrać. Jesteś moją jedyną córką i chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie chcę się z tobą kłócić. Zapisze cię na zajęcia, będziesz poszerzała swoje horyzonty, zostaw tę kobietę, a wszystko wróci do normy – powiedział litościwym głosem.

– Dobrze, tato, będzie jak mówisz. Rozumiem ciebie i zrobię, jak zechcesz.

Po tych słowach objął mnie i przytulił. Wiedziałam, że mnie kocha, dlatego wybaczyłam mu.

Następnego dnia tata zapisał mnie na zajęcia dodatkowe. Uczyłam się grać na pianinie. To kompletnie do mnie nie pasowało, ale zawarłam z tą panią układ: ona będzie okłamywać tatę, że chodzę na zajęcia, a ja w tym czasie będę gdzie indziej. Tej kobiecie zależało tylko na pieniądzach, więc szybko się zgodziła.

To był właśnie plan, który wymyśliłam z Panią Kasią. Podczas mojej nieobecności na zajęciach, spędzałam chwile z nią. Ja byłam szczęśliwa, a ojciec o niczym nie wiedział. Coraz więcej czasu spędzałam w kwaciarni. Poczułam, że jest ona moim drugim domem.

Uwielbiałam przesiadywać tam i rozmawiać z Kasią. Pod wieloma względami byłyśmy bardzo podobne. To wspaniała i ciepła osoba. Lubiała pomagać innym. Imponowała mi tym. Pomimo tego, że nie miała wiele, ostatni grosz przeznaczala dla potrzebującego. Nie przeszkadzało mi to, że żyje skromnie i nie ma tylu pieniędzy. Ceniłam ją jako człowieka. Podziwiałam za to, jaka jest i czym kieruje się w życiu. Chciałam być taka jak ona. Przy niej wreszcie czułam się kochana i potrzebna.

Wiele mi o sobie opowiadała. Urodziła się w Krośnie – niewielkim mieście na Podkarpaciu. Darzyła to miejsce niezwykłym sentymentem. Uwielbiała spacerować po krosnieńskim rynku i obserwować zabytkowe kamienice, stary kościół i oglądać fontannę. Często odwiedzała muzeum i antykwariaty z książkami. Wspominała także o ukochanej kawiarni w rynku z najlepszą kawą w mieście. Bardzo chciałam tam pojechać, a ona obiecała, że kiedyś tam zagłębimy. Zawsze gdy pytałam o jej bliskich, urywała temat. Jednak pewnego dnia powiedziała mi coś więcej.

– Wiesz, mam brata, bardzo go kocham i nie wyobrażam sobie życia bez niego. Kiedyś prawie go straciłam. Zachorował na raka, to bardzo ciężka choroba, ale udało nam się z nią wygrać. Trafił do hospicjum i wtedy pojawił się człowiek, który opłacił bardzo kosztowną operację i chemię.

– Kim on był? Powiedz mi coś więcej – dopytywałam, lecz zauważyłam, że zaczęła unikać mojego wzroku.

– Nieważne. To zły człowiek, który tylko z pozoru wydaje się być dobrym aniołem, ale to właśnie dzięki niemu mój brat żyje i cieszy się chwilą. Pytałaś kiedyś, dlaczego tyle pomagam, a więc po tym jak cud uratował mojego brata, w podziękowaniu zostałam wolontariuszką w tamtejszym hospicjum – dokończyła.

To właśnie w niej uwielbiałam, bezinteresowną pomoc i miłość do każdego człowieka, którego spotykała.

Dni, miesiące mijały, a ja stawałam się coraz szczęśliwszym człowiekiem. Moja relacja z Panią Kasią była coraz piękniejsza. Poświęcała mi wiele czasu. Spędzałyśmy każdą wolną chwilę. Przy niej wreszcie czułam się wartościowa. W pewnym sensie zastąpiła mi moja matkę. Zabierała mnie na spacer, chodziłyśmy do kina i teatru. Pomagała mi w nauce, przygotowywałyśmy projekty. Zabierała mnie na wycieczki, pływałyśmy na łodzi, chodziłyśmy na zakupy, gotowałyśmy wspólne obiady. Tak jak obiecała, zabrała mnie kiedyś do Krosna. Byłam bardzo podekscytowana tym wyjazdem. Pokazała mi piękne zabytki, architekturę, rynek. Było cudownie, celebrowałam każdą chwilę. Odwiedziliśmy także Regionalne Centrum Kultur Pogranicza, w którym

odbywał się koncert charytatywny. Wykonany w pięknym stylu i z wyjątkową interpretacją. Byłam pod ogromnym wrażeniem i ceniłam tych ludzi za bezinteresowną pomoc. Po koncercie obeszliśmy kilka knajp. Wpadliśmy także na wspólne zakupy do galerii Vivo. Pod wieczór usiadaliśmy nad brzegiem Wisłoka przy ognisku i rozmawialiśmy. Wreszcie powiedziałam:

- Chciałabym mieć taką mamę jak ty. Żałuję, że los pokierował tym inaczej. Pamiętaj, że zawsze będę darzyć cię szacunkiem i nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś
- powiedziałam i mocno się do niej przytuliłam.
- Jestem pewna, że nadejdzie taki dzień, w którym poznasz swoją mamę i spędzicie razem resztę życia. Czekaj cierpliwie... – po tych słowach ucałowała moje czoło. Nie do końca wiedziałam, jak rozumieć jej słowa.

Następnego dnia byłam już z powrotem w domu. Rozmawiałam z Panią Kasią przez telefon. Czułam, że jest jakaś inna. Mówiła tajemniczo i poprosiła mnie o spotkanie w parku. Powiedziała, że chce przekazać mi coś ważnego. Oczywiście, zgodziłam się i zaczęłam przygotowywać się do wyjścia. Nagle do mojego pokoju wszedł ojciec. Widziałam po nim, że jest zły.

- Coś się stało? – zapytałam.
- Okłamałaś mnie, nadal spotykasz się z tą oszustką! – wykrzyczał mi to prosto w twarz.
- Nie nazywaj jej tak!
- Nie zmieniaj tematu – powiedział zdecydowanym tonem.
- A co miałam zrobić, gdy zabroniłeś spotykać mi się z jedyną osobą, dla której się liczę – odpowiedziałam, a napięcie pomiędzy nami rosnęło.
- Nie przesadzaj, wszyscy traktują cię jak księżniczkę, a tobie nadal mało.
- Myślałeś, że pozbędziesz się jej tak jak mojej matki?
- Milcz! Nie masz prawa tak mówić – krzyknął zdecydowanym tonem.
- Przy tobie nie mam żadnych praw, pamiętaj nie jestem twoją własnością – wstałam i chciałam wyjść, ale on chwycił mnie za rękę.
- Puść, to boli! – odpowiedziałam.
- Dokąd to? Nie skończyłem z tobą rozmawiać! – powiedział ze złością w oczach.
- Nie jestem ci już nic winna – wyrwałam się i pobiegłam przed siebie.

Pod domem czekała na mnie taksówka. Wsiadłam, nie oglądając się za siebie i pojechałam prosto na miejsce spotkania. Ojciec wsiadł do swojego samochodu i jechał za mną. Cały czas dzwonił, ale nie odbierałam. Miałam dość, nienawidziłam go. Myślałam, że jest moja opoką i wsparciem. Zawiodłam się na nim i nie chciałam go znać. W końcu dojechałam na miejsce, wysiadłam i poszłam w stronę parku. On był tuż za mną. Biegł i krzyczał:

- Kochanie, zatrzymaj się, porozmawiamy, wszystko ci wyjaśnię – błagał.

Jednak ja dalej uparcie szłam przed siebie, szlochając.

- Proszę cię, daj mi szansę, kocham cię. Wrócimy do domu i porozmawiamy – powiedział.

Nie mogłam przejść obok niego obojętnie. Odwróciłam się i powiedziałam:

- Tato, ja nie chcę już nic wyjaśniać. Zawiodłeś mnie – mówiłam to i nieświadomie cofałam się w kierunku przejścia dla pieszych.

- Kochanie, nie mów tak, wszystko jeszcze wróci do normy – kontynuował. – Chodź do mnie, wrócimy do domu.

Nagle zobaczyłam naprzeciwko mnie Panią Kasię, biegła i krzyczała:

- Uważaj!

Spojrzałam w lewo, a tam ogromny, rozpędzony tir jechał w moją stronę.

- Kochanie, uważaj! – krzyknął mój tata.

Jednak ja zamknęłam oczy i nie wiedziałam, co zrobić. Obejrzałam się i zobaczyłam, jak mój tata i Kasia biegną w moją stronę i odciągają mnie na bok.

Poczułam, jak ktoś dotyka mnie po twarzy. Obudziłam się. Wstałam i spojrzałam przed siebie. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Mój tata i Kasia leżeli pod kołami tira. Nie wiedziałam, co robić. Byłam przestraszona i spanikowana. Chciałam tam podejść do niego, do mojego ojca. Ktoś złapał mnie za ramię i powiedział:

– Przykro mi. Jesteś jedyną osobą, która może podjąć decyzję. Jeżeli uratujemy jedno z nich, drugie umrze. Kogo mamy wyciągnąć? – powiedział ratownik. Nie wiedziałam, co się dzieje, nie rozumiałam, co on do mnie mówi.

– Szybko, tu chodzi o ich życie! – wykrzyczał.

– Tata, tam jest mój tata, pomóżcie mu. Tato, przyjdź tu.

I nagle wszystko do mnie dotarło.

– Gdzie ona jest, ratujcie ich!

Ratownik już poszedł i patrzyłam, jak na moich oczach umarła. Widziałam, jak wyciągnęła do mnie rękę. Jednak było już za późno. Zaczęłam płakać i krzyczeć. Pobiegłam w jej stronę, ale zatrzymali mnie. Przedzierałam się siłą przez korytarz ludzi, ale to nic nie dało. Zabrali ją do samochodu i odjechali. Moje serce pękło. Światło w tunelu właśnie zgasło.

Pobiegłam do karetki. Ojciec złapał mnie za rękę i wymamrotał cichym i lekkim głosem:

– Kochanie, będzie dobrze, o nic się nie martw, damy radę.

Stałam tam i płakałam. Cały mój świat zawalił się w ułamku sekundy. Straciłam wszystko. Ojciec puścił moją rękę, zabrali go do szpitala.

Usiadłam na poboczu i z ogromnym bólem spojrzałam w tamtą stronę. Zaczęłam płakać jeszcze mocniej. W pewnym momencie zobaczyłam, że na ulicy leży koperta i biała róża obwiązana czerwoną wstążką. Zerwałam się i pobiegłam zobaczyć, co to jest. Na kopercie widniało moje imię, dlatego podniosłam ją i otworzyłam. Gdy zobaczyłam początek zamarłam: „Witaj, córeczko”. Nie mogłam złapać tchu. Moje serce biło jak szalone. Zaczęłam czytać dalej. „Witaj córeczko, ten list przygotowałam na wypadek, gdybyś nie chciała wysłuchać mnie w parku. Nie wiem, jak bardzo mam cię przeproszać za to, że 15 lat temu odeszłam od ciebie bez słowa. Nie wiem także, jaką wersję opowiedział ci twój ojciec, ale podejrzewam, że obrócił sprawę przeciwko mnie i powiedział tobie, że cie nie kochałam. Ale to nieprawda. Pamiętasz, jak mówiłam Ci o swoim bracie. Właśnie wtedy on zachorował. Pochodziliśmy z biednej rodziny, nie stać nas było na kosztowne leczenie. Wtedy twój ojciec zaproponował, że pokryje koszty leczenia i operacji. To on był tym tajemniczym darczyńcą, o którym nie chciałam ci mówić. W zamian za to ja musiałam odejść. Zmusił mnie do tego. Nasz związek był pomyłką. Wstydził się mnie i bał, że wszystko to ujrzy światło dzienne. Zawsze powtarzał, że odniósł sukces na skalę światową, a mnie nazywał skandalem, który musi zostać w tajemnicy. Kochanie, nie było dnia, w którym o tobie nie myślałam. Zastanawiałam się gdzie jesteś, co robisz. Jesteś i zawsze byłeś dla mnie najważniejsza. Zostawiłam cię kiedyś samą, ale nigdy cię nie opuściłam. Pamiętaj o mnie, mała wojowniczo. Kocham cię córeczko”.

Gdy skończyłam czytać, wszystko do mnie dotarło. Popełniłam największy błąd. Obwiniłam siebie za jej śmierć. Upadłam na kolana i nie wiedziałam, co robić. Żal rozrywał mnie na strzępy. Poczułam się jak zdrajca. Tak bardzo mi na niej zależało...

Po kilku dniach ojciec wrócił do domu. Ja nadal czułam się okropnie, wiedziałam, że to wszystko to moja wina. Nie chciałam na niego patrzeć ani go słuchać, ale nasza konfrontacja była nieunikniona.

Wszedł do mojego pokoju i zaczął:

– Kochanie, zacznijmy wszystko od początku, zostawmy przeszłość – mówił pewny siebie.

Wewnątrz mnie gotowało się, nie sądziłam, że mój ojciec może być tak bezczelny i wyrachowany.

– Posłuchaj.... – kontynuował, lecz przerwałam mu i zabrałam głos:
– Nie, to Ty mnie posłuchaj. Zawsze wiedziałam, że masz chore ambicje i liczą się dla ciebie tylko pieniądze. Udowodniłeś mi to wiele razy, ale wierzyłam, że chociaż częśćka ciebie walczy o moje dobro. Pomyliłam się... Co kierowało tobą, gdy w egoistyczny sposób usunąłeś matkę z mojego życia? Albo nie... Przecież ona dla ciebie nic nie znaczyła. Zadam ci inne pytanie. Co czułeś, gdy kłamałeś swojej jedynej córce prosto w oczy, że jej mama jej nie kocha? – wybuchłam płaczem.

Emocje przełaziły się. Wreszcie wykrzyczałam mu to prosto w twarz.

– Córeczko, nie mów tak, ona była nikim, biedna, przeciętna, nic ciekawego. Zresztą sama miałaś okazję ją poznać. Zrobiłem to po to, by cię chronić. Ze mną jest ci lepiej, zrozum – kontynuował.

– Nie liczysz się dla mnie i nie nazywaj mnie swoją córką. Nie chce słuchać ciebie ani nikogo innego. I wiesz co, o wiele bardziej wolałam ją od ciebie. Wiesz dlaczego? Bo ona miała serce i potrafiła kochać. Nie to co ty... Chcę, abyś na zawsze zniknął z mojego życia! Nienawidzę cię i brzydzę się twoimi pieniędzmi. A teraz wyjdź – dokończyłam.

– Dlaczego mi to robisz... Kochanie, wszystko wróci do normy... – przerwałam mu:

– Wyjdź! – krzyknęłam.

– Jak wolisz... – odwrócił się i wyszedł. Położyłam głowę na poduszce i zasnęłam.

Minęło wiele lat. Byłam już dorosłą. Wydarzenia z przeszłości na zawsze utkwily w mojej pamięci. Nie potrafiłam wybaczyć ojcu, było za wcześnie. Nie żałuję tego, co mnie spotkało. Była to dla mnie lekcja, którą z pokorą przepracowałam. Teraz dopiero byłam naprawdę szczęśliwa. Na cześć mojej mamy, wśród wielu starych i pięknych kamienic w Krośnie – otworzyłam kwiaciarnię.

Robiłam to, co kochałam, z pełną pasją i zaangażowaniem. Była to pewnego rodzaju pamiątka po niej. Zawsze czułam ją obok siebie.

Pewnego dnia wybrałam się na cmentarz. Chciałam ją odwiedzić. Usiadłam na jej nagrobku i zaczęłam:

– Wybaczam Ci wszystko, co zaszło. Cieszę się, że chociaż przez ten krótki czas było dane mi poznać ciebie i spędzić razem czas. Już nie jestem nastolatką, tylko dorosłą kobietą. To wszystko wiele mnie nauczyło, dzisiaj jestem tutaj przy tobie szczęśliwa i wiem, że jesteś moją jedyną, ukochaną mamą. Nie zapominaj o tym. Trzymaj się, wrócę tu niedługo. Kocham Cię!

Wstałam, a na nagrobku położyłam dwa kwiaty: białą różę, którą dostałam od niej i żółtą różę, którą kupiłam dla niej. Były to dwa najważniejsze i najpiękniejsze kwiaty w moim życiu.

Gdy równo 68 lat temu po raz pierwszy z mych ust wydobył się krzyk, spowodowany być może rozpaczliwą niechęcią do rozpoczętego właśnie życia, mimo że nieświadomy tego, otoczony byłem przez ludzi. Tato, niezwykle barwna i skomplikowana postać, starsza siostra, pierworodna, być może najbardziej pokrzywdzona przez moje narodziny, i oczywiście matka. Mamą nigdy nie byłem w stanie jej nazwać. Słowo to brzmiało zbyt miękko, delikatnie i ciepło w moich uszach, by zaadresować nim kogoś tak twardego, bezwzględnego i chłodnego. Nie mogę powiedzieć, że byłem otoczony ludźmi, którzy mnie naprawdę kochali, ale przynajmniej nie byłem sam. Dzisiaj natomiast, w tym samym mieście, równo 68 lat od moich narodzin, znów krzyczałem, tym razem z bólu, który towarzyszył mi podczas ostatnich dni mojego życia. Krosno było moją kolebką, za niedługo będzie też moim grobem. W czasie między dwoma najważniejszymi wydarzeniami w życiu człowieka, to są oczywiście narodziny i śmierć, niewiele razy opuszczałem to miejsce. Nie byłem nigdy na prawdziwych wakacjach, nie studiowałem w wielkim mieście, nie podróżowałem ze znajomymi. Uczyłem się w LO im. Mikołaja Kopernika, ślub wziąłem w Parafii Rzymsko-Katolickiej PW Ducha Świętego, a dzisiaj natomiast umieram w hospicjum na ulicy Grodzkiej 45. Jako że nie zostałem obdarzony bujną wyobraźnią i wielkimi ambicjami, nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego miejsca na spędzenie życia.

Żałuje naprawdę niewiele rzeczy, gdyż wierzę, że wszystko ma swój powód i cel. Jedyne co bym zmienił to siebie. Osobą, którą powinniśmy w pełni akceptować i kochać najbardziej jesteśmy my sami. Mógłbym wypełnić to zadanie gdybym nie był sobą. Od zawsze mi coś w sobie nie pasowało. Nie chodzi tu o mój wygląd, gdyż mimo tego, że nigdy nie byłem zbyt urodziwy nie przeszkadzało mi to w codziennym życiu. Zaakceptowałem siebie. Kluczem do tego było pozbycie się wszystkich luster, jakie miałem w domu. Unikam swojego odbicia jak ognia. Powodem częściowo jest to jak paskudny i niezgrabny jest mężczyzna po drugiej stronie lustra, ale w głównej mierze powodem jest to jak bardzo mnie on przeraża. Jego wzrok od zawsze wywoływał u mnie dreszcze, bałem się zbliżyć do niego w obawie, że wyciągnie do mnie rękę i wbije nóż w oko. Od zawsze czułem się przez niego zagrożony. Rujnował wszystko co dobre w życiu moim i tych, których kochałem. Sabotował wszystkie moje relacje aż w końcu zostałem sam. Zostawiły mnie żona i córka, wnuka nigdy nie widziałem, przyjaciele umarli albo nie byli w stanie wytrzymać z moim specyficznym usposobieniem. Kiedy już mężczyzna w lustrze pozbawił mnie wszystkiego co mogło mi sprawić choćby krztynę szczęścia postanowił, że zajmie się mną. Chciał mojej śmierci. Wlewał do mojego żołądka litry czystej, ściany moich płuc malował na czarno dymem papierosowym, a moją skórę ozdabiał tajemniczymi wzorami, których się wstydziłem. Wstydziłem się wszystkiego co ze mną robił, ale nie byłem w stanie go powstrzymać. Teraz muszę przyznać mu wygraną, wywiesić białą flagę i zawiesić mu na szyi złoty medal, podczas kiedy on obtoczy wokół mojej sznur i przyczepi go do sufitu.

Długo z nim walczyłem, sprawiało mi to wiele trudu, bo muszę powiedzieć, że jest on bardzo zawzięty. Ale teraz nic więcej nie jestem już w stanie zrobić. Kiedy leżę w małym pokoju, który przepełniony jest wonią lekarstwa w jego rogu stoi Kosiarz i zbiera swoje plony, czuję się zniecierpliwiony. Za każdym razem, gdy pielęgniarka przynosi mi posiłek w srebrzystej misce, kiedy już wyłópię wszystko co znajdowało się w naczyniu, na dnie widzę jego szyderczy uśmiech. Te żółte, powykrzywiane zęby otoczone przez usta szare i wyschnięte, które formują się w koślawy półokrąg i wypowiadają szeptem te słowa: „Zrób to wreszcie ty stary idioto”. Współlokalka zawsze zwraca się wtedy w moją stronę i przygląda mi się nieufnie, tak jakby to mój głos usłyszała, ale ona nie wie, nikt w tym przygnębiającym miejscu nie wie, kto na

mnie czyha. Z jakim potworem i sadystą muszę się mierzyć każdego dnia. Jego szept towarzyszy mi codziennie podczas porannej toalety, a także wieczorem, kiedy rozwiązuję krzyżówkę (w końcu tylko tym mogą zajmować się starzy ludzie czekający na śmierć).

Dzisiaj spełnię największe marzenie mężczyzny w odbiciu lustra. Wszystko już przygotowane. Ku mojemu zdziwieniu i ku radości mego lustrzanego odbicia, młody wolontariusz był niezwykle chętny mi pomóc. Cytując jego słowa „jeden staruch mniej nie robi nikomu różnicy”. Nie mam mu tego za złe i właściwie to cieszę się, że chce pomóc mi ukrócić moje, już i tak zbyt długie życie. Gdy rozmawiałem z nim po raz pierwszy, proponując mu nieskromną sumę za zdobycie dla mnie sznura, wystarczająco mocnego, aby udźwignąć moje stukilogramowe ciało, w jego oczach znów zobaczyłem to, czego bałem się najbardziej. Złowrogi uśmiech pojawiał się wszędzie, gdzie udało mu się zmieścić.

Tak więc przedmiot mojego pożądania znalazł się pod moim materacem. Przez ostatnie kilka tygodni, kiedy sznur chował się w moim łóżku, co noc mogłem wyczuć jego kontur pod cienkim, zabrudzonym materacem, na którym spałem. Poprawka, nie spałem, a leżałem nieruchomo przysłuchując się śmiechom pielęgniarek na korytarzu i charakterystycznemu mruczeniu wydawanemu przez oświetlający ów korytarz świetlówkom. Tej nocy natomiast udało mi się zasnąć niesłychanie szybko. Wstałem wypoczęty i na mojej twarzy gościł uśmiech. Uśmiech, który mógłbym przysiąc, został umieszczony na mojej pomarszczonej buźce przez mężczyznę w odbiciu. Sen również miałem o nim. Był to sen przytłaczający, ale komfortowy i przyjemny jednocześnie. Tak jakbym owinał się ciepłą, puchową pierzynką od stóp do głów, i mimo, że brakowałoby mi oddechu nie rozluźniłbym uścisku. Wewnątrz mojej głowy grał znakomity pianista, który odgrywał melodię według nut, które zapisane zostały na kartach moich wspomnień ponad pół wieku temu. Znowu leżałem skulony na moim dziecięcym łóżku. Moje ciało udekorowane było niewielkimi plamami w najróżniejszych kolorach. Ciemnogranatowy, poprzez fiolet, aż do żółtego. Niektóre plamy były świeże, niektóre natomiast tak polubiły moją skórę, że nie chciały z niej zniknąć nawet po kilku miesiącach. Tato siedział na rogu łóżka i płakał. Mimo, że to ja zostałem pobity i zgwałcony, a z moich prywatnych części ciała sączyła się krew, to on płakał. Płakał za nas dwu. Było mi go niezmiernie szkoda. Wiedziałem, że robił to, bo mnie kochał, wiedziałem też, że mimo jego zapewnień, nie był to ostatni raz. On mnie kochał, kochał też moją siostrę, ale teraz to ja byłem jego ulubieńcem. Przeze mnie, miłości mojego ojca nie starczyło też dla niej. Robiła wszystko, by zwrócić jego uwagę, chciała bowiem by ich relacja wyglądała tak jak przed moimi narodzinami. Później, gdy już tacie postawiono wyrok, wiele razy powtarzała, że żaden mężczyzna nie pokocha jej tak jak kiedyś kochał ją nasz ojciec. Jeszcze później to samo napisała w liście pożegnaniowym, który znalazłem na jej szafce nocnej obok jej zimnego, rozkładającego się ciała, które potraktowała kilka dni wcześniej śmiertelną mieszanką silnych leków na receptę oraz alkoholu. W moim śnie przez cały czas towarzyszył mi mężczyzna z lustra. Stał z boku i uważnie się przyglądał. Nie poruszał ustami, byłem jednak w stanie słyszeć jak mówi: „Zasłużyłeś na to”. Te trzy słowa, które jak na porysowanej płycie wybrzmiewały w kółko w mojej głowie za każdym razem, gdy doświadczałem bólu i rozczarowania.

Przed dokonaniem mojego przeznaczenia nie chciałem żadnych wspominek. Żadnego przeglądania fotografii z młodości, pisania listów do starych znajomych, nie chciałem myśleć o niczym. A jednak na małym stoliku, który stał obok mojego łóżka, leżała mała czarno-biała fotografia. Byłem pewien, że ostatnio gdzieś się bezpowrotnie zawieruszyła, a jednak teraz miałem ją tuż przed oczami. Przedstawiała ona młodą kobietę o perlistym, szczerym uśmiechu. Miała urzekający błysk w oczach, a jej ciemne włosy spływały z czubka jej głowy jak wodospad smoły. Była to moja matka. Przed poznaniem mojego ojca oczywiście. Po tym jak się poznali jej marzenia odlecia-

ły niczym bociany kierujące się przed zimą na południe. Zaszła w ciążę, wzięli ślub i została kura domową. Jej obowiązkiem było zająć się moją siostrą i ojcem, kilka lat później również mną. Przypuszczam, że z naszej trójki największą nienawiścią darzyła mnie. Wiele razy bowiem powtarzała mi, że zanim się urodziłem miała jeszcze nadzieję, że uda jej się wyrwać z tego miejsca, że oswobodzi się z bolesnego objęcia, w jakim trzymał ją jej mąż. Jednak moje narodziny uświadomiły jej, że nie ma już żadnej drogi ucieczki. Przynajmniej nie formalnie. Większość czasu spędzała w przydrożnych barach, pijąc, wciągając prochy, których nie potrafię nazwać i flirtując z mężczyznami, których imion nie znała. Z jednej strony nie byłem w stanie znieść tego, że traktowała nas jak powietrze, kiedy wydmuchiwała na nas dym papierosowy ignorując każde słowo, jakie jej małe dzieci wypowiadały. Z drugiej strony jednak czułem do niej niewyobrażalny żal. Chciałem zniknąć z tego świata, żeby jej ulżyć, zbyt jednak bałem się porażki. Jaki to byłby wstyd gdybym spróbował się zabić i nie podołał. Chociaż może wtedy matka odezwałaby się do mnie. Powiedziałyby pewnie: „Nawet to byłeś w stanie zrujnować”. Stara fotografia ukazywała ją taką, jakiej jej nigdy nie znałem. Wykradłem to zdjęcie z jej portfela, kiedy jeszcze chodziłem do podstawówki i zawsze trzymałem przy sobie. To zdjęcie było dla mnie jak prawdziwa mama. Śliczna, dobra, wesola – moja wymarzona mama. Ja jednak miałem matkę.

Kiedy już oswobodziłem się z pnączy wspomnień, które trzymały mnie przykutego do łóżka, wstałem i począłem przygotowania do ostatniego dnia mojego życia. Myjąc zęby w łazience jak zawsze unikałem drapieżnego wzroku mężczyzny z lustra. Odmówiłem śniadania i zacząłem przechadzać się po korytarzach. Przypadkiem w jednej z sali ujrzałem białe prześcieradło, którym przykryte było ciało. Pielęgniarki krzątały się wokół niego i zanim zdążyłem szczegółowo wyobrazić sobie, jak ja będę wyglądał pod takim prześcieradłem najprawdopodobniej już jutro rano, zamknęły drzwi. Począłem dalej, pociągając nogami po błyszczącym linoleum. Minałem wspólny salonik, w którym przebywał właśnie mój pomocnik-wolontariusz i mrugnąłem do niego porozumiewawczo. Najwyraźniej nie rozbawiło go to, gdyż zmieszany odwrócił ode mnie wzrok i powrócił do swoich obowiązków.

Dzisiaj jest pierwszy dzień wiosny. Kiedy wszystko rozkwita i budzi się do życia, ja mam swoje własnoręcznie zakończyć. Resztę dnia spędziłem siedząc na krześle ustawionym tuż pod oknem z widokiem na drogę, z nielicznymi przerwami na toaletę oraz obiad. Kiedy tak oglądałem samochody sunące drogą, w polu mojego widzenia pojawiła się grupka ludzi. Kobieta, mężczyzna i dwójka dzieci, w wieku jak obywateli przedszkolnym. Wydawali się zadowoleni, kiedy tak na przemian brali dzieciaki za ręce i huśtali raz w górę, raz w dół. Wiedziałem jednak, że nie można dać się zmylić pozorom i w głębi duszy modliłem się, aby pod ubraniami tych dzieci nie chowały się różnokolorowe siniaki, a w kieszeniach zdjęcia ich matki, kiedy jeszcze była szczęśliwa.

Powoli i ospale zbliża się wieczór. Niebo zostało pomalowane na najróżniejsze odcienie pomarańczy i fioleto. Zbliża się moja ostatnia godzina. Ludzie przed śmiercią żałują, że nie zrobili tego czy tamtego, że nie poślubili tamtej czy owakiej. Ja jednak uważam, że niezależnie od tego, co bym nie zmienił, skończyłbym taki sam, w tym samym miejscu. Nie wydaje mi się, że przeznaczone mi było być szczęśliwym. Teraz natomiast odczuwam lekką ekscytację na myśl o spotkaniu z moją rodziną. Mam nadzieję, że w zaświatach każdy jest w swoim najlepszym wydaniu, w takim, w jakim nie miałem szansy ich poznać. Kiedy to piszę, wiem, że patrzę na mnie dwie osoby. Kosiarz, który nie może się doczekać, aby spakować moją duszę do czarnego worka i stary mężczyzna w lustrze. Czuję, że się ze mnie nabijają, pewnie zbijają teraz ze sobą piątkę. Dziękuję ci, mężczyzno w moim lustrzanym odbiciu za to, że zawsze byłeś ze mną i jako jedyny mnie nie zostawiłeś. Tak jak chciałeś, sznur jest już gotowy, pokój zamknięty na klucz, który dostałem w prezencie od zaprzyjaźnionego wolontariusza. Hospicjum na ulicy Grodzkiej 45, ostatnim miejscem na Ziemi, po którym

stąpa moja noga, w którym wydaje swoje ostatnie tchnienia i zapisuje moje ostatnie słowa. Tak więc dzisiaj, dzień po moich sześćdziesiątych ósmych urodzinach, chcę się pożegnać. Nie wiem z kim dokładnie, bo pisząc to nie myślę o nikim konkretnym, zresztą prawda jest taka, że nikt bliski mi już nie został. Żegnaj osobo, która czyta te słowa i życz mi powodzenia. Ja tobie również życzę powodzenia i mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miała do czynienia ze swoją własną wersją złowrogoego odbicia w lustrze. To był ostatni dzień mojego życia.

Indeks autorów

Adamczyk Anna 7-9
Basamania Mateusz 53
Belcik Małgorzata 40, 41
Bryś Aleksandra 46
Chmielowiec Maria 51
Dobrowolski Miłosz 25
Dudka Monika 63
Ginter Jakub 42-44
Gugała Jagoda 5, 6
Jurczyk Nikola 11
Krukierok Mikołaj 28
Latii Maryna 12
Markowska Emilia 14
Mazur Zuzanna 66
Özkan Emel 15
Pacana Patryk 59
Polak Aleksandra 31
Prus Weronika 20
Przybylska Julia 72
Surmacz Anna 49, 50
Szelc Paulina 48,
Szul Jakub 34
Szyndlar Jan 17
Śnigórska Amelia 23
Wołczańska Maja 11
Wota Amelia 61
Zych Aleksandra 45, 46

Indeks utworów

Anioły	42
Ciche wołanie	53
Cień	6
Dom	59
Figurka pradziadka	17
iluzja pragnienia	46
Latem	5
Liryczne doznania	7
Lock Down	11
Łóżko	44
Makarony władzy	
melpomene	45
Morał życia	12
myślami tkane	14
Nadzieja	11
Niby	40
Niebanalne szczęście	66
(Nie)szczęścia chodzą parami	34
Niezlomny Servus Mariae	9
O niezwykłej miłości zwykłego wojaka	25
Oaza Twórczości	8
Oczy	51
Ostatni dzień mojego życia	72
Ostatni zachód słońca	15
Pamięć	31
Piękna destrukcja?	49
Pomnik	45
Portret babci	7
Prawda	48
Przemyślenia	49
Relacja sprzed bramy	42
Spoczynek	63
Szukając siebie	50
Ta chwila...	40

Ta historia nie kończy się dobrze	44
Tajemnicze biesiady	23
Tajemniczość i spokój zimy	28
Te słowa	46
Ten dzień w lutym...	41
Wczoraj	41
Zielone Winstony i czarna zapalniczka	49
Zło	48
Życie bywa przekorne	20

Spis treści

Protokół z posiedzenia jury Krośnieńskiego Konkursu	
Literackiej Twórczości Młodzieży	3
Jagoda Gugąła – Latem	5
Jagoda Gugąła – Cień	6
Anna Adamczyk – Portret babci	7
Anna Adamczyk – Liryczne doznania	7
Anna Adamczyk – Oaza Twórczości	8
Anna Adamczyk – Niezłomny Servus Mariae	9
Maja Wołczańska – Lock Down	11
Nikoła Jurczyk – Nadzieja	11
Maryna Latii – Morał życia	2
Emilia Markowska – myślami tkane	14
Emel Özkan – Ostatni zachód słońca	15
Jan Szyndlar – Figurka pradiadka	17
Weronika Prus – Życie bywa przekorne	20
Amelia Śnigórska – Tajemnicze biesiady	23
Miłosz Dobrowolski – O niezwykłej miłości zwykłego wojaka	25
Mikołaj Krukierok – Tajemniczość i spokój zimy	28
Aleksandra Polak – Pamięć	31
Jakub Szul – (Nie)szczęścia chodzą parami	34
Małgorzata Belcik – Niby	40
Małgorzata Belcik – Ta chwila... ..	40
Małgorzata Belcik – Wczoraj	41
Małgorzata Belcik – Ten dzień w lutym... ..	41
Jakub Ginter – Anioły	42
Jakub Ginter – Relacja sprzed bramy	42
Jakub Ginter – Łóżko	44
Jakub Ginter – Ta historia nie kończy się dobrze	44
Aleksandra Zych – pomnik	45
Aleksandra Zych – melpomene	45
Aleksandra Zych – iluzja pragnienia	46
Aleksandra Bryś – Te słowa	46
Paulina Szelc – Prawda	48
Paulina Szelc – Zło	48

Paulina Szelc – Piękna destrukcja?	49
Paulina Szelc – Zielone Wistony i czarna zapalniczka	49
Anna Surmacz – Przemyślenia	49
Anna Surmacz – Szukając siebie	50
Maria Chmielowiec – Oczy	51
Mateusz Basamania – Ciche wołanie	53
Patryk Pacana – Dom	59
Amelia Wota – Makarony władzy	61
Monika Dudka – Spoczynek	63
Zuzanna Mazur – Niebanalne szczęście	66
Julia Przybylska – Ostatni dzień mojego życia	72
Indeks autorów	77
Indeks utworów	78

